

Tajemnica
skarbu

Zaginione
kosztowności

Delagalizacja
Solidarności

poszukiwania



Nr 08/2016 (25) październik 2016
www.poszukiwania.pl

**Obsadzenie Kremla
przez załogę polską**

Redaktor naczelny:
Rafał Kruk
kruku@poszukiwania.pl

Zespół redakcyjny:
Weteryna
Mariusz Bąk
Marek Kulig
Niuniek
Tom
Robert Winkler

Współpraca:
Yedyny
Andrzej Szutowicz

**Zdjęcie na okładce
i zdjęcia w artykułach,
o ile nie zaznaczono inaczej:**
archiwum Portalu
Poszukiwania.pl

Reklama i Marketing:
redakcja@poszukiwania.pl

Redakcja:
redakcja@poszukiwania.pl

**Reprodukcja i przedruk
wyłącznie za zgodą autora.
Gazeta działa na zasadach
dziennikarstwa obywatel-
skiego otwierając swoje łamy
dla każdego autora.**

**Redakcja zastrzega sobie
prawo do redagowania
i skracania dostarczonych
tekstów.**

**Redakcja nie ponosi
odpowiedzialności za
treść reklam i artykułów
sponsorowanych.**

Jesień za oknami, miłośnicy tajemnic historii wykorzystują ostatnie dni pogody do wyjścia w teren. Przeczesując pola i lasy warto pomyśleć o ludziach, którzy setki lat wcześniej byli w tych miejscach przed nami. Co robili, jak wyglądało ich życie. Wasze odkrycia przybliżają historię, często historię jednego człowieka. Zagubiona moneta, guzik, jakieś narzędzia były w rękach kogoś innego, ktoś kiedyś trzymał te przedmioty, miały dla niego pewną wartość. Zastanówcie się również co dla historii pozostanie po nas. Jak Ty możesz zaznaczyć swoje miejsce w historii dla przyszłych odkrywców.

Portal Poszukiwania.pl wraz z magazynem Poszukiwania sugeruje o pozostawianiu w miejscach obecnych odkryć współczesnych monet. Jeżeli jest też taka możliwość w niewielkiej „kapsule czasu” zostawcie też informacje o sobie.

*Czekam na Wasze opinie i sugestie.
Piszcie do mnie kruku@poszukiwania.pl*

Rafał Kruk

SPIS TREŚCI

4	W dół podziemnych szczelin tam, gdzie złoty kopiec łśni
9	Tajemnica skarbu
15	Jeden dzień z życia odkrywcy czyli o wyprawie eksploratorskiej
18	Zaginione kosztowności
20	Ordery, odznaki i odznaczenia wojskowe cz. 8
23	Megalityczne grobowce w Sasinach
25	Odkrycie grobu wojownika z okresu wpływów rzymskich
27	Odkrycie kurhanów
29	Naszyjniki i bransolety sprzed około 2,5 tys. lat
31	Tysiące zabytków wynikiem wykopalisk w zaginionym mieście
33	Monety. Rzeczpospolita Polska 1918 – 1939
38	Bitwa pod Maciejowicami
40	Delegalizacja Solidarności
42	Łuski niemieckie 1940-1945. 7,92x57 Mauser, cz. 3
45	Drugi pokój toruński
49	Dzień Pamięci o Cywilnej Ludności Powstańczej Warszawy
53	Obsadzenie Kremla przez załogę polską
57	Pokojowa Nagroda Nobla dla Lecha Wałęsy
60	Śmierć hetmana Żółkiewskiego
62	Unia horodelska
65	Wodowanie OPR Błyskawica w Wielkiej Brytanii
68	Zamach na Cafe Club
71	Norwegia mierzona w zachwytach, a nie koronach
73	Magia ochronna Słowian
76	Między nauka a popularyzacją
78	Browar w Grodźcu
90	Toyota Land Cruiser FJ40

W dół podziemnych szczelin tam, gdzie złota kopiec lśni

Nie wszystkie opisane przygody zdarzyły się podczas jednej i tej samej wyprawy, troszkę może podkolorowałem tu i ówdzie, bo cóż warta choćby i najlepsza opowieść bez jednego małego łgarstwa (no, może dwóch), a zatem siadźcie wygodnie, nabijcie fajeczkę, napelnijcie kufelek i posłuchajcie...



Foto: John Nyberg, Freeimages.com

Jedziemy na rowerach już drugą godzinę, obwieszeni jak choinki albo stado wariatów po napadzie na sklep z błyskotkami i koralikami. Lutowe słońce świeci niemiłosiernie w oczy, choć droga czarna, na polach wszystko lśni, a powietrze jest tak czyste, że można było po drodze policzyć drzewa na Raduni. Jesteśmy na szczęście już za Jemną i widzimy pierwsze zabudowania Srebrnej Góry. Dyszymy jak astmatycy na przepustce, albo trzy parowozy na bocznicy. Parujemy całym ciałem na chwilowym odpoczynku. Nie można długo stać, bo poranny mróz momentalnie usztywnia przepocone łąchy. Wszystko przez tego durnia Staśka, uparł się baran jeden żeby jechać podczas mrozów, bo podczas mrozów nie będzie wody na niższych piętrach i łatwo dotrzemy poniżej drugiego poziomu kazamatów twierdzy srebrnogórskiej.



Foto: Griszka Niewiadomski, Freeimages.com

Zaczął się normalnie, od artykułu w „Świecie młodych” o konwoju obładowanych ciężarówek który w ostatnich dniach II wojny wtoczył się do twierdzy i już tam pozostał. To działało na wyobraźnię, szczególnie jak się miało naście lat i silne przeświadczenie o własnej nieśmiertelności – bo wypadki – jak wiadomo z własnego doświadczenia – przytrafiają się

wyłącznie innym, nigdy nam. To wystarczyło aby załapać bakcyła i rozsmakować się w tajemniczych opowieściach, w których główną rolę odgrywały skrzynie ze skarbami III rzeszy, stosy broni i kościotrupy w niemieckich hełmach. Oczywiście przekazujący opowieść zaklinał się, że jeśli nawet sam nie brał w niej udziału to „był tam” wujek, albo kuzyn, albo ostatecznie syn sąsiada z klatki. Oliwy do ognia dołało kilku kumpli, którzy przynieśli do budy parabelki i na przerwach ganiali się jako partyzanci. Zanim milicja ich zgarnęła zdążyli pochwalić się, jak to poprzez podłogę w magazynie na starej stacji kolejowej dostali się do składziku z różnościami. Nosz urwał nać! A my jak durnie codziennie po godzinie cichutko ścianę rozkuwaliśmy do tego schowka, a wystarczyło na chama łomem kłódkę ukłębnić, podważyć kilka desek w podłodze i voila! – gotowe. Dwa dni milicja skrzynki wynosiła. Tym razem się nie damy, w Srebrnej będziemy pierwsi, konwój będzie nasz. Jest zatem rok osiemdziesiąty – któryś, nasza trójka po kilku wypadach – rekonesansach do Srebrnej Góry zaopatrzona w latarki, zapasowe baterie, zapasowe żaróweczki, (oraz zapasowe baterie do zapasowych latarek), plastikowe bidony, aparaty Smiena, gruby sznur do suszenia prania tudzież wiązania kozy – ze Staśkiem nigdy nic nie było do końca wiadomo – oraz plecakami wypchanymi niezbędnymi rzeczami w ilościach nienormalnych, wali prosto pod forty. Głowy też nabite aż do bólu opowieściami i pełnym przekonaniem, że któż jak nie my. Cel - forty w Srebrnej Górze, największa fortyfikacja górską w Europie, wzniesione rozkazem Fryderyka Wielkiego w latach 1765 – 1777. Prawdziwy kolos, potwierdzający przydomek Fryderyka – der Grosse, czyli Wielki. Jakaż zabawna kolej losu, będąc jakieś pół roku temu w pałacu Sans Souce w Poczdamie, ukochanej siedzibie Fryderyka Wielkiego pod Berlinem, zobaczyłem na jego grobie kilka ziemniaków. Okazało się, że wdzięczni Niemcy pamiętając o swoim władcy przynoszą mu w podziękowaniu na grób ... po ziemniaku, bo nieważne ile facet wygrał wojen, jak wzmocnił Prusy, najważniejsze dla Niemców są jak się okazuje kartofeln und kartofeln. I tak, człowiek, który zbudował forty w Srebrnej jest pamiętany przez przeciętnego Niemca za ziemniaki, które

sprowadził do Prus. Bywa i tak, współczesnym ku pamięci. Ale powróćmy do lat 80-tych.

Rowery spinamy wokół drzewa gdzieś w gęstym lesie za fortem „Harcerz” i obladowani podchodzimy pod zamkniętą jak zwykle bramę Don Jonu. Śniegu miejscami pod kolana, żywego ducha wokół, żadnych śladów, to i dobrze. Pomału schodzimy do fosy po prawej stronie, i trzymając się ściany fortu brniemy fosą dobre naście minut. W końcu mamy upatrzony jeszcze jesienią fragment muru do wspinaczki. Ściana jest bardzo skorodowana, praktycznie zaczyna się tworzyć osuwisko, a na samej górze rośnie spora brzoźka, z którą wiążemy pewną nadzieję. Rozwijamy linę, Stasiek jest najlżejszy i najmniejszy, bierze nóż, zaczepia linę za pas i drapie się do góry pomagając sobie nożem jak czekaniem. Staje w końcu na ramionach Miśka, ja na samym dole, robimy coś jakby piramidę w najbardziej stromym miejscu i po dwóch nieoczekiwanych zjazdach na dupie, w końcu za trzecim razem Stasiek sięga brzoźki, wiąże linę i gramolimy się na szczyt. Jesteśmy jakby na takim garbie, z tyłu fosa, z przodu fosa, po lewej następna ściana, po prawej za to „szosa” – szeroki pas równego terenu porośniętego krzakami. Teren niepewny, zasypany śniegiem, można gdzieś wlecieć, trochę strach. Podobno ktoś tak wleciał do studni. Na szczęście ściana po lewej jest upstrzona otworami – co za radość, już za chwilę wchodzimy do podziemi. Wchodzimy jakby oknem do sporego pomieszczenia, w którym mamy dwa wejścia pod „szosę” oraz jedno na wprost, a co ciekawe poprzez zarwaną podłogę widać jeszcze dwa tunele poniżej. Wybieramy ostry zjazd na butach (i tyłkach) tunelem w kierunku pod „szosę” i łądujemy w przeogromnej hali, lekko skręcającej w lewo. Hala jest sklepiona beczkowato, posiada wielkie otwory okienne w kierunku wewnętrznej fosy, widać, że miała dodatkowy poziom, po którym zostały zarwane ceglane sklepienia. Naładowani adrenaliną idziemy przed siebie – toż tutaj spokojnie można by tirem jeździć! Idziemy dalej, mijamy co jakiś czas po prawej wejścia do kolejnych pomieszczeń, w jednym z nich odkrywamy podziemną studnię. Trochę strach podchodzić blisko, ale co tam, biorę kawał gruzu i rzucam – okazuje się, że woda nie jest chyba za głęboko, za to echo jest przepiękne, aż uszy bołą, po chwili co prawda się uspokaja, ale

jak już zapada cisza słyszymy jakby głuche tup-tup-tup. I znowu tup-tup-tup. Czuję, jak mi się pomału włoski na przedramieniu prostują, a gęsią skórkę mam nawet na głowie. I znowu ni to tup-tup, ni to człap-czałap. Dobiega jakby gdzieś z pod spodu. Nie bardzo wiadomo co robić – uciekać? Ale gdzie? Ostrożnie po cichutku idziemy dalej. Wiemy czego mamy szukać, jedna z opowieści poleca szczególnie interesować się systemami odwodnienia. Patrząc zawsze po załamach ścian, rozglądać się uważnie po kątach - co jakiś czas mają być szczeliny odwadniające. Ale nie ma.



Foto: John Nyberg, Freeimages.com

Po pewnym czasie mamy zejście na drugi poziom podziemi, schody z cegły, szerokie, proste, ze spocznikiem. Drugi poziom to kolejne hale. Po kilku halach wychodzimy znowu na pierwszy poziom, potem schodzimy głębiej, ale nie ma jak dostać się na poziom trzeci i dalej. W końcu w jednym z bocznych pomieszczeń mamy strzał. Wilgotna plama na ścianie w kącie jest jakby bardziej wilgotna niż inne, podchodzimy i faktycznie, ściany schodzą się, ale nie do końca, jest jakieś 30-40 cm luzu, mokro, kapie z góry, wciskamy się w szczelinę i idziemy mając z jednej strony ścianę z cegieł, z drugiej ścianę skalną, przestrzeń raz jest szeroka, raz wąska, stąpamy jakby po ceglanej rynnie, czujemy, że idziemy w dół, cóż z tego, kiedy po kilku zakrętach stajemy przed kamienną ścianą, zakończoną nisko sklepionym przepływem. Cholera, możemy sobie tylko postać i popodziwiać „krasowe” nacieki odłożone z wymytego z zaprawy wapna i dwa małe nietoperze. I szczelinę w górze. Zapieraczka to jest kapitalny sposób na łatwe i szybkie pokonywanie szczelin. Niestety musimy zostawić plecaki, co się da łądujemy do kieszeni,

jakieś kanapki, latarki i hajda, plecami i rękami opieramy się o ścianę skalną, nogami o ścianę z cegieł, latarka w zęby i jak pajęczek do góry. Udaje się obejść ściankę, schodzimy z trudem dużo, dużo niżej, do pomieszczenia będącego w fatalnym stanie technicznym. Są tu dwa pozawalane korytarze w obudowie kamiennej, zawałone aż do samego stropu oraz trzeci, idący mocno w dół, również zagruzowany, ale jakby nie do końca. Człgamy się gęsiego wydaje się, przez wieczność, kiedy nagle gruzowisko kończy się i Misiek ze Staśkiem lądują gdzieś w dole, a ja utykam na samym końcu jak korek w butelce. Ze stropu wysunął się głaz i kolebie się utrzymywany w równowadze chyba tylko przez mój krzyż i niższe okolice. Chłopaki ryczą, żebym się nie ruszał, że jak głaz całkiem spadnie to mnie rozsmaruje, ale ja przecież jestem nieśmiertelny (i kompletnie bez wyobraźni) zapieram się nogami i wciskam w dół, w końcu puszcza, osuwam się do małej komory, za mną leci ten głaz i się klinuje. Droga powrotna, jakby to powiedzieć łagodnie... właśnie poszła się przewietrzyć. Jesteśmy w trójkę niezłe wystraszeni, głaz ani drgnie, zbieram słuszny opr, siadamy i ... jemy kanapki.



Foto: Michał Mojek, Freeimages.com

Pomieszczenie w którym jesteśmy jest raczej niewielkie, posiada dwa identyczne, na oko pięciometrowe przejścia po lewej i prawej do identycznych komór też może pięć na pięć. Pewnie coś w rodzaju prochowni albo magazynku na żywność, chociaż prochownia odpada, bo w środkowym pomieszczeniu jest komin z cegieł, wyróżnia się wyraźnie na tle kamiennej obudowy. Widocznie kiedyś musiał tu

być piecyk, może to zatem coś w rodzaju aresztu? Nieważne, żadnych dalszych przejść nie udaje się znaleźć, zatem wracamy pod głaz i próbujemy wybierać spod niego i wokół niego gruz. Kicha. Ani drgnie. Miny mamy bardzo nietęgę, nie ma szans aby ktokolwiek do nas dotarł, przynajmniej nie w tym stuleciu. Możemy sobie pokrzywzić i potupać po ścianach. Pomaga na chwilę, ale znów słychać owo głuche tup-tup-tup. Co by to nie było, trudno, ryczymy o pomoc, niestety przestało tupać. Przykładam ucho do komina, bo jakby stamtąd najlepiej było słychać, krzyczę w niego „halo”, wyglupiam się rycząc „Mikołaju” i wpadam nagle na pomysł. Przecież komin, to też niezła droga zapieraczkowa. Wyrwamy cegły przy dziurze po podłączeniu piecyka i zaglądamy do środka, jest jakieś półtora metra powyżej korek z gruzu, prujemy zatem ścianę kominową w górę, dobieramy się do korka i za chwilę wszystko leci w dół – droga wolna. Nikt wtedy nawet nie spostrzeża, że korek poleciał kominem w dół – na jeszcze niższy poziom, zresztą w tym momencie odechciało się nam wszelkiej eksploracji, aby się tylko wydostać. Na całe szczęście komin jest w sam raz na zapieraczkę, gramolimy się w górę i w górę. Niestety wciąż nie widać żadnego światełka na górze, oby komin nie kończył się następnym korkiem. Ostatecznie wciskamy się do pomieszczenia identycznego na oko jak to z którego wyruszyliśmy i chce nam się krzywzić, bo jest zimniej i jakby ciągnie! Kurczę, jak ja się cieszyłem z mroziku! Krótka droga spiralnymi, ceglany już schodkami w górę i jesteśmy w tunelu. Tunel jest wielki jak stodoła, czystutki jakby dopiero co pozamiatany, zresztą nie rozglądamy się za bardzo na boki, walimy prosto przed siebie, gdy wtem trafiamy światłem latarek na potężne zawałisko ziemne. Drapiemy się na górę, rozgrzebujemy rękami i latarkami zmarzniętą ziemię i nagle zamiast ziemi leci śnieg. Przeciskamy się w górę i leżymy rozwaleni jak pijane mrówkolwy na dnie dość sporego leja. Nic nie widać, słońce i śnieg tak oślepia, że nie ma szans na otwarcie oczu. Ech, jak smakuje powietrze, jaki piękny świat. Po dłuższym wylegiwaniu się, udaje nam się wygramolić na w miarę równy teren. Idziemy pomału przed siebie, aż dochodzimy do fosy – dobre 8 metrów ściany w dół. Idziemy dalej wzdłuż fosy, zakręt, zakręt, ściana pionowa w

górze, idziemy wzdłuż niej, znowu fosa i dochodzimy do własnych śladów – a zatem nie koniec przygód. Decydujemy się na zejście do fosy. Szukamy drzewa wyrastającego z fosy najbliższej nas i niewrażliwi już na wysokość zdecydowanym wypadem po kolei prawie-że skaczemy na nie i zlazimy po pniu w dół. Fosa jest ciężka do przejścia, śnieg i pełno kamorów ze ścian, umordowani docieramy do tylnego bastionu i pomalutku, wyraźną ścieżynką doczłapujemy na czarny szlak okrążający fort. Siadamy na zwałonym pniu i chłoniemy. Puszczają nerwy, zaczynamy się śmiać i dowcipkować. Cóż, odebraliśmy potężną lekcję pokory, wyleczyło nas z beztrastności, dociera dopiero teraz jak było poważnie. Nie udało się natrafić na żaden ślad po konwoju, ale jesteśmy cali. Nikomu nie chce się wracać po plecaki, zresztą mała strata, co komu po parcianym worku na szelkach i starym swetrze, możliwe, że do dziś tam leżą. Spacerkiem obchodzimy twierdzę, odpinamy rowery i schodzimy drogą do schroniska, tam gorąca herbatka, lenistwo, nie chce się człowiekowi ruszać. Dziś Forty w Srebrnej Górze na całe szczęście mają

porządnego i dobrego gospodarza, trwają w nich prace ratunkowe, tylko miejsca się strasznie pozmieniały. Wiele z dobrze mi znanych miejsc znikło z powierzchni ziemi, kilka ciekawych rzeczy się pozawałało. Teren jest zabezpieczony, dzika eksploracja, jak ta w naszym wydaniu jest chyba niemożliwa – i dobrze, forty pochłonęły już dość ofiar.

Opuszczając Srebrną Górę przyciąga nasz wzrok pasmo Grochowej – tam też są forty, podobno ziemne, podobno ktoś opowiadał że można dostać się pod ziemią aż do kopalni w Skalkach Stoleckich, a tam są jakieś pancerne drzwi... Oczywiście wiosną pojechaliśmy i tam, oczywiście skończyło się całkiem odwrotnie niż miało być, ale to już temat na całkiem inną opowieść.

Jedno mnie tylko do dziś zastanawia: co robiło to cholerne tup-tup-tup?

Rafał Januszkiewicz



Foto: Jacek Halicki, Wikimedia Commons; Creative Commons Uznanie autorstwa 3.0.

Tajemnica skarbu

Był ciepły letni poranek. Słońce podnosiło się znad horyzontu, kiedy Marek wyskoczył ze swojego łóżka. Dzień wcześniej umówił się z Pawłem i Krzyskiem, że pójdą do starego kamieniołomu na poszukiwanie kalcytu, który był tam wydobywany jeszcze przed wojną. Siedem lat temu ze względów ekonomicznych kamieniołom zamknięto, a ludzi zwolniono.

W kamieniołomie pracował ojciec Marka, który od dzieciństwa uczył go jak rozpoznać poszczególne minerały, jak ich szukać, jak je przechowywać i obrabiać. Teraz ojciec miał się sezonowych prac, w domu się nie przelewał, bo zarabiał niewiele. Dlatego Marek chciał pomóc w podreperowaniu domowego budżetu, sprzedając kalcyt na giełdzie minerałów i skamieniałości we Wrocławiu.

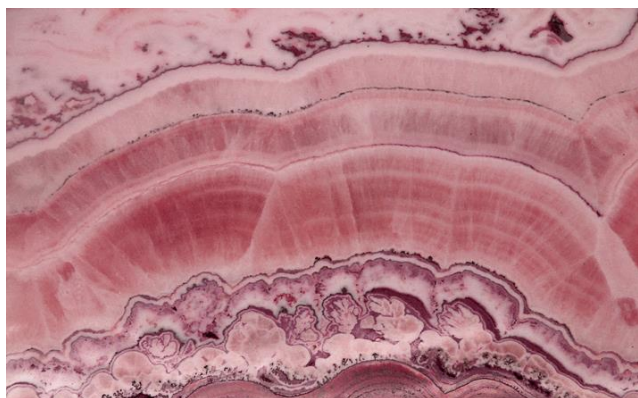


Foto: Alex Furr; Freeimages.com

Marek nie wyróżniał się wśród kolegów niczym szczególnym. Był średniego wzrostu, po matce miał lekko kręcone blond włosy i niebieskie oczy. W szkole uczył się dobrze, choć nie był prymusem. Interesowały go szczególnie dwa przedmioty: WF oraz historia.

Po cichu, żeby nie obudzić rodziców oraz młodszej siostry, poszedł do łazienki. Umył

twarz i zęby, a następnie przyczesał starannie włosy. W pokoju odszukał pod łóżkiem stare dżinsy, bładozielonego T-shirta oraz lekko rozciągnięty wełniany sweter. Przez moment zastanawiał się, czy sweter będzie potrzebny, ale zauważywszy wielkie krople rosy na trawie stwierdził, że może być mu za zimno w samej koszulce. Do plecaka zapakował młotek do rozbijania kamieni, woreczki, żeby posegregować zebrane minerały oraz flamaster do ich opisania.

Wymknął się z domu przez frontowe drzwi. Nie raz wychodził rano z domu bez śniadania, więc wiedział, że mama nie będzie mu z tego powodu robić wyrzutów.

Przed domem czekali już na niego Paweł i Krzysiek. Wyglądali trochę jak Flip i Flap. Paweł był wysoki i chudy jak tyczka. Spodnie wyraźnie za krótkie, sięgały mu niespełna do kostek. Krzysiek, niski grubasek o okrągłej jak piłka twarzy, na nosie odbijała się w porannym słońcu cała armia piegów. Ubrany w spodnie z szerokimi nogawkami i zawijający się na brzuchu sweter wyglądał na jeszcze grubszego, niż był w rzeczywistości.

Znali się od małego. Razem bawili się w piaskownicy, razem chodzili do przedszkola, chodzili do tej samej szkoły. Krzysiek był jego rówieśnikiem, Paweł był o rok starszy.

Do kamieniołomów mieli nie więcej niż kilometr, więc po niecałych piętnastu minutach byli na miejscu. Ponieważ przyszedli od południowej strony, a najłagodniejsze zejście do kamieniołomów było od północy musieli jeszcze pokonać kolejne kilkaset metrów, aby do nich wejść.

Byli tu nie raz w poszukiwaniu kalcytu i wiedzieli, gdzie można go najłatwiej znaleźć. Ale wiedzieli też, że w miejscu, gdzie było go najwięcej, był on najdrobniejszy. Dlatego dziś rano, postanowili poszukać go nie na zachodniej ścianie, ale u podnóża ściany wschodniej. Od swojego taty Marek dowiedział się, że od czasów wojny, ściana ta nie była eksploatowana ponieważ Niemcy, którzy wycofywali się przed nadciągającą armią radziecką wysadzili tą część kamieniołomu w powietrze.



Foto: Petr Kovar; Freeimages.com

Skąły u podnóża zbocza miały ponad metr średnicy i chłopcy wiedzieli, że zwykłymi młotkami nie uda im się ich rozbić. Dlatego postanowili, że wdrapią się na górę i poszukają drobniejszych kawałków. Paweł, który był najwyższy skakał po kamieniach jak kozica i bez trudu znalazł się na szczycie gruzowiska. Niedługo po nim pojawił się na górze Marek i od razu zaczęli ostukiwać pierwsze kamienie. Minęła dobra minuta zanim usłyszeli za sobą sapanie Krzysztofa. Wyglądał jakby przebiegł sprintem całą długość stadionu, Był zlany potem, dyszał jak lokomotywa, a twarz miał czerwona jak burak. Nie mogąc wydobyć z siebie słowa usiadł na płaskim kamieniu i w milczeniu przyglądał się jak Marek i Paweł łupali po kolei kamienie.

W końcu i on nachylił się, wziął pierwszy kamień i zaczął w niego uderzać młotkiem. Niestety, to był zwykły kamień. Wziął kolejny – to samo.

Po mniej więcej godzinie szukania cała trójka była już solidnie zmęczona. Na szczęście, słońce schowane za ścianą kamieniołomu nie sięgało przed południem miejsca, gdzie pracowali. Mieli więc przed sobą jeszcze ze dwie, trzy godziny pracy w cieniu. Postanowili jednak odpocząć. Marek i Krzysiek usiedli na płaskich kamieniach, które sobie wcześniej znaleźli. Paweł usiadł, opierając się o ścianę przy gruzowisku. Przymknął oczy i wyobraził sobie wielki kalcyt, który znajduje wraz z kolegami. Wyobraził sobie jak podziwiają go na giełdzie inni poszukiwacze i jak wszyscy chcą kupić ich znalezisko.

Nagle Paweł poczuł jak osuwają się pod nim kamienie i spada do tyłu na głowę. Marek i Krzysiek nie zdążyli nawet krzyknąć. Widzieli tylko, jak nogi Pawła unoszą się nagle do góry i znikają za stertą kamieni. Zerwali się szybko na nogi i podbiegli pod ścianę.

Zobaczyli ciemną dziurę, Gdy zajrzeli do środka nic nie zauważyli - było zbyt ciemno. Marek krzyknął:

- Paaaweł. Żyjesz ?

- Żyję – odpowiedział głos z ciemności.

Krzysiek przypomniał sobie nagle, że do plecaka wrzucił latarkę. Nie minęło 20 sekund jak był z powrotem przy dziurze z latarką w ręce.

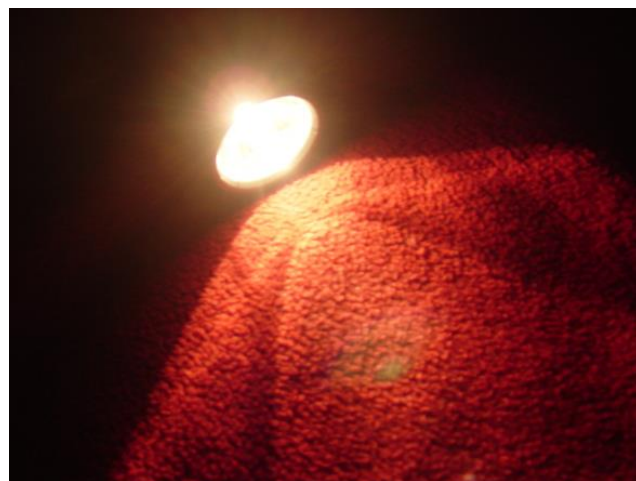


Foto: Babs101525; Freeimages.com

Zajrzeli do środka i ujrzeli komorę o wymiarach kilka na kilka metrów z opadającą dość ostro w dół podłogą. W najniższym jej punkcie siedział

oszołomiony Paweł i otrzepywał ubranie z niewidocznego dla chłopaków brudu.

Obok Pawła stały na ziemi 2 średniej wielkości drewniane skrzynie. Marek z Krzyskiem weszli ostrożnie do środka. Musieli się porządnie schylić, żeby nie zahaczyć głową o niski strop, a jednocześnie musieli patrzeć pod nogi, bo kamienie były bardzo śliskie.

Po krótkich oględzinach głowy Pawła, chłopcy stwierdzili że na szczęście nic poważnego się nie stało, nie licząc kilku drobnych zadrapań.

- Chłopaki, co to za skrzynie? - zapytał Krzysztof

Paweł z Markiem pokiwali przecząco głową.

- Nie wiemy.

- Spróbujemy wyciągnąć je na zewnątrz i otworzyć - powiedział Marek



Foto: Kum McLeod; Freeimages.com

Skrzynie okazały się wyjątkowo lekkie i nie było problemu z wciągnięciem ich do góry. Aby je otworzyć chłopcy użyli kamieni, których wokół było pod dostatkiem. Pierwszą deskę udało się odbić po kilku uderzeniach, z kolejnymi było jeszcze łatwiej.

W środku pierwszej skrzynki znajdowały się jakieś dokumenty pozwijane w rulony. Wszystkie były napisane po niemiecku. Chłopcy uczyli się tylko angielskiego, a Krzysiek

dodatkowo rosyjskiego. Postanowili więc wziąć kilka ze sobą i je przetłumaczyć, a resztę ukryć z powrotem w dziurze.

Druga skrzynia oprócz dokumentów skrywała tajemnicę. Było to niewielkie zawiniątko, w którym było kilkanaście niewielkich kamieni szlachetnych. Mieniły się pod słońce na niebiesko i zielono.

Chłopcy powkładali rulony, których nie zamierzali zabrać do skrzyń. Włożyli je do dziury i zamaskowali je kamieniami.

Zabrali kilka dokumentów, kamienie szlachetne i poszli szybko do domu Krzyska. Wiedzieli, że tata Krzyska zna niemiecki i ma w domu kilka słowników.

- Dzień dobry pani - krzyknęli chłopcy do mamy, która powitała ich z uśmiechem i garnkiem zupy w rękach.

- Dzień dobry - odpowiedziała mama i zaraz dodała zaskoczona - Marek, jak Ty wyglądasz? Masz strasznie zakurzone ubranie. Tylko nie pobrudźcie mi podłogi. Niedawno ją umyłam.

- Dobrze proszę pani - odpowiedzieli znów chórem chłopcy.

Krzysiek prowadząc chłopaków do pokoju, zabrał po drodze słowniki. Gdy zamknęli się w pokoju wyciągnęli dokumenty i zaczęli tłumaczyć.

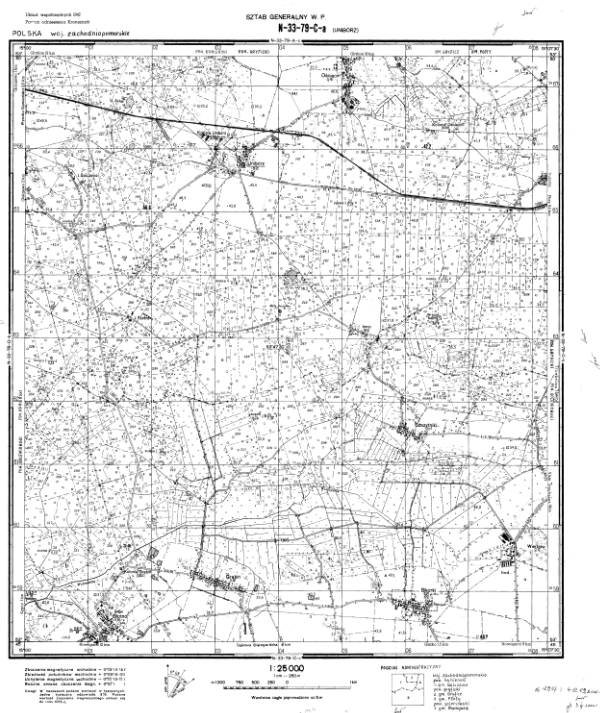
Umówili się tak, że każdy z nich będzie tłumaczyć osobno pojedynczy dokument, ale szybko okazało się, że tekst pisany był jakimś dziwnym językiem i większości słów trzeba było szukać w różnych słownikach, żeby znaleźć tłumaczenie.

Zaczęli od dokumentu, który wyglądał jak strona tytułowa książki ze spisem treści na kilka stron. Po przetłumaczeniu pierwszych zdań okazało się, że dokumenty pochodzą z 1944 roku, a należały do komendy SS, która stacjonowała w ich miasteczku w czasie wojny. Wg dokumentu w skrzyni znajduje się spis dzieł sztuki: obrazów, rzeźb, rękopisów, które zostały skonfiskowane w latach 1941-1944 na terenie

północnej części Generalnej Guberni. Do dokumentu załączona była odręcznie narysowana mapa z zaznaczonym miejscem, gdzie zostały te dzieła sztuki ukryte. Chłopcy rozpoznali na mapie stary młyn w sąsiedniej miejscowości, która w czasach okupacji nosiła nazwę Luftburg. Droga od młyna biegła wzdłuż rzeki, a potem skręcała do lasu i dalej przez dużą polanę i wzgórze wiodła do następnej miejscowości. Na skraju polany przy lesie od strony zachodniej ktoś zaznaczył czerwonym flamastrem duży krzyżyk.

- To prawdopodobnie tam jest skarb – powiedział Paweł

Umówili się na następny dzień, na ósmą rano. Marek miał wziąć ze sobą wykrywacz – od dwóch lat szukał różnych pamiątek z czasów historycznych, więc rodzice jako prezent za dobre wyniki kupili mu dobry, polski wykrywacz. Marek szczególnie doceniał możliwość włączenia dyskryminacji. Dzięki temu unikał kopania i znajdowania tego, co go nie interesowało, czyli kapsli, puszek po piwie itp.



Następnego dnia było jeszcze sporo przed ósmą, gdy cała trójka pojawiła się na miejscu zbiórki. Wszyscy mieli wypchane plecaki – prowiant, saperki, latarki i wszystko co jest potrzebne dorastającym chłopcom, aby szukać ukrytych

skarbów. Mieli przed sobą ponad godzinę drogi, więc nie zwlekając ruszyli przed siebie. Polana porośnięta była wysoką trawą. Nie została zagospodarowana przez żadnego z rolników jako pole albo łąka, prawdopodobnie z powodu dużej ilości dzików, które mieszkały w lesie i które potrafiły przeryć każdy kawałek ziemi w poszukiwaniu jedzenia. Nie została też zalesiona przez leśników, choć miejscami rosły samosiejki brzozy i dębu.

Ponieważ z mapy nie można było odczytać dokładnego miejsca ukrycia skarbu, więc chłopcy postanowili przeczesać okolicę wykrywaczem. Tym razem Marek nie włączał dyskryminacji w wykrywaczu, bo liczył, że miejsce ukrycia zawierać będzie jakieś metalowe elementy: kłódkę, gwoździe na skrzynki albo jakieś inne elementy. Miał też nadzieję, że w tym miejscu nie będzie za dużo metalowych śmieci i nie będzie trzeba zbyt dużo kopać.

Zaczęli przeczesawanie terenu od skraju lasu przy drodze i przesuując się zygzakiem chcieli dojść do kolejnego skraju lasu.

Po piętnastu minutach ciszy w głośniku, nagle wykrywacz zapiszczał. To co znaleźli było dość pokaźnych rozmiarów i wg informacji na wyświetlaczu zalegało na głębokości 20 cm. Wbili saperki i zaczęli kopać. Ziemia w tym miejscu była dość luźna, więc szybko przebili się przez warstwę runa i próchnicy. Przy którymś z wbić saperki rozległ się nieprzyjemny zgrzyt metalu o metal. Paweł przykleknął na jedno kolano i zaczął saperką rozgarniać ziemię wokół miejsca, gdzie znaleźli metalowy element.

Znalezisko okazało się skrzynią metalową o wymiarach pół metra na pół metra. Udało się ją z trudem wyciągnąć, bo była dość ciężka. Na bocznej ścianie wisiała pokaźnych rozmiarów kłódka. Kilka uderzeń saperki wystarczyło żeby ją otworzyć. Kilkadziesiąt lat w ziemi zrobiło swoje i naruszyło mechanizm kłódki - gdy by była nowa pewnie nie byłoby tak łatwo.

Widok zawartości skrzyni był zaskakujący. Wypełniona była kosztownościami: bransoletki, pierścionki, naszyjniki, pozłacane puchary, talerze oraz inne precjoza.

- Skąd to się tu wzięło ?- zapytał zaskoczony Krzysztof.

- Pewnie Niemcy schowali, jak uciekali przed zbliżającym się frontem – powiedział z powagą Marek.

- Co z tym zrobimy ? - zapytał Krzysztof.

- Musimy oddać. To nasz obowiązek – stwierdził Marek

Pozostała dwójka chłopaków przytaknęła. Zmieniając się przy niesieniu skrzynki po prawie dwóch godzinach doszli do miasta. Na szczęście komisariat policji był na początku, więc nie musieli iść przez całe miasto.

Zaskoczenie policjanta, który akurat pełnił dyżur było ogromne. Przez chwilę nie potrafił wymówić słowa. W końcu wyduśił z siebie:

- Skąd to macie?

Paweł odpowiedział:

- Znaleźliśmy w lesie, proszę Pana.

- Musicie mi to opowiedzieć od początku.

Chłopcy dokładnie, ze wszystkimi szczegółami wyjaśnili jak odkryli dziurę w kamieniołomie, jak rozszyfrowali mapę oraz gdzie znaleźli skrzynkę. Następnego dnia cała polana i spora część lasu została otoczona taśmą. Terenu pilnowali policjanci oraz wojsko. Zjawiała się nawet ekipa telewizyjna i trzech reporterów z radia. Marek, Paweł i Krzysiek byli w centrum uwagi. Po raz któryś z kolei opowiadali swoją historię. Za każdym razem, gdy to robili, ich oczy rozbłyskiwały na nowo tym pełnym energii blaskiem, żywiej gestykulowali rękami, na twarzy pojawiały się wypieki.

Wiedzieli, że gdy pojawią się w szkole po wakacjach, oczy wszystkich będą skupione właśnie na nich, to ich będą pokazywać palcami, będą odkrywcami. Wielkimi odkrywcami mrocznej tajemnicy wielkiego skarbu...

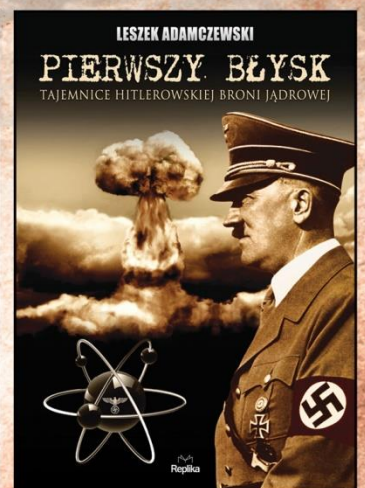
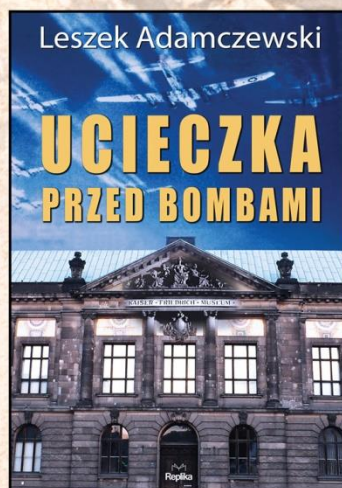
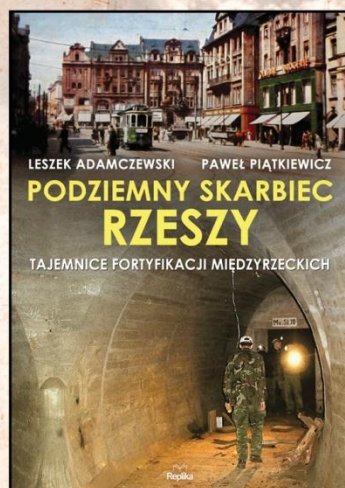
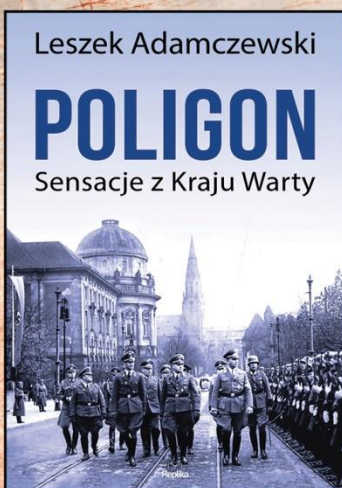
Tomasz Pelc



SKARBY, ZAGADKI, MROCZNE TAJEMNICE HISTORII



WKRÓTCE



Jeden dzień z życia odkrywcy czyli o wyprawie eksploratorskiej

Był słoneczny sierpniowy poranek. Słońce świeciło intensywnie, a jego promienie wpadały przez okno do pokoju Daniela i zadziornie zaczęły jego śpiącą twarz. Nie ma się co dziwić, że był zmęczony... Do czwartej rano czytał książkę o II wojnie światowej. Historia była jego pasją. Potrafił godzinami ślezc nad tekstem – czytać go, rozmyślać o nim. Nikt tak jak Daniel nie znał tematyki wojennej. Kto, jak kto, ale On mógł pozwolić sobie na „nocne historyczne wyprawy”, ponieważ był kawalerem. Aczkolwiek był nim z wyboru. Daniel miał trzydzieści lat i był wysokim brunetem o krępej budowie

ciała.

Lubił dużo podróżować i spędzał wiele czasu na świeżym powietrzu. Jego równie ogromną pasją, obok historii, były wyprawy eksploratorskie. Żartobliwie mówił o sobie: „poszukiwacz skarbów”. Wiedza historyczno-geograficzna, jaką posiadał, była mu niezwykle pomocna podczas wypraw poszukiwawczych.



Daniel był typem samotnika, dlatego też wielogodzinne spacerunki z wykrywaczem metalu były dla niego prawdziwą rozrywką. Jego kariera poszukiwawcza zaczęła się gdy miał dwadzieścia lat. Jako młody chłopak zaczytywał się w książkach Zbigniewa Nienackiego o przygodach Pana Samochodzika. Te zadziwiające opowieści o starych dworach,

Wyspie Złoczyńców czy też zakonach templariuszy zaszczepiły w nim prawdziwą odkrywczą pasję.

Na początku swoich poszukiwań zaopatrzył się w profesjonalny sprzęt: dobre, wygodne buty, wykrywacz, plecak, i wojskowe ubranie. Jednym słowem dość dużo w siebie inwestował – stać go było na to gdyż nie miał ani żony ani dzieci.



Foto: Daniel Sulen; Freeimages.com

Była już godzina szósta rano. Tego dnia, dziewiątego sierpnia, Daniel postanowił udać się na wykopki. Sobotni dzień sprzyjał wyjazdowi i podróżom ze względu na brak jakichkolwiek

zająć. Wspomniane wcześniej, złośliwe promienie słońca w końcu obudziły Daniela. Zmęczony i rozespany usiadł na łóżku, przetarł twarz rękoma i ziewnął po czym wstał i poszedł przygotować się do wyprawy. Zjadł śniadanie, wypił kawę i załadował sprzęt do swojego terenowego samochodu. Ponieważ zbliżała się już szósta trzydzieści przeklął: „Osz cholera! Trochę późno jak na wykopki..” Swoją drogą miał racje! Zazwyczaj na poszukiwania wybierał się około czwartej, piątej rano. Dzisiaj po prostu zaspał. Chwile zastanawiał się, czy w ogóle warto jechać, jednak po chwili namysłu stwierdził, że w taką ładną, słoneczną pogodę nie będzie siedział w domu. Wsiadł więc do swojego samochodu i pojechał do najbliższego, aczkolwiek owianego historią lasu, który znajdował się piętnaście kilometrów od jego domu. Analizując swoje przedwojenne mapy i wykorzystując zdobytą wiedzę na temat tego obszaru odkrył, że na terenach obecnego lasu, toczyły się krwawe wojenne bitwy za czasów II wojny światowej. Zginęło tam wielu żołnierzy polskich i rosyjskich ale także duży odsetek ludności cywilnej: dzieci, kobiet, chłopów.



Las znajdował się na terenie dość zróżnicowanym geograficznie. Dużo wzniesień, dolin. Daniel zatrzymał swój samochód u podnóża góry, którą na początek planował przebadać wykrywaczem. Założył plecak, wziął sprzęt, zamknął auto i wyruszył na „poszukiwanie przygody”. Słońce świeciło mocno, jednak nie było to w ogóle uciążliwe, ponieważ co jakiś czas zawiązał letni, chłodzący wietrzyk. Podróżnik szedł przed siebie bardzo powoli, badając wykrywaczem teren wokół siebie. Teren wydawał się być zupełnie odcięty od reszty świata. Posiadał swój charakterystyczny, magiczny czar. Można powiedzieć, że prawie dało się odczuć nastroj tych krwawych bitew, a każdy podmuch wiatru

przywoływał skojarzenia dziecięcego płaczu lub kobiecego krzyku. Dookoła znajdowały się dość duże grajdoly w ziemi, najprawdopodobniej po wojennych pociskach.



Daniel szedł przed siebie, skupiony na szukaniu „skarbów”. Maszerując przez dobre półtorej godziny sprzęt nie dał sygnału ani razu. Mimo to nie poddawał się i nadal kontynuował swoją wędrówkę. Opłacało się jednak! Schodząc, w jedną z wielu, dolin ujrzał ciekawy kształt betonu wychodzącego z ziemi. Podeszedł bliżej, aby obejrzeć ciekawe znalezisko. Tak jak przypuszczał! Był to niemiecki bunkier, co można było wywnioskować po swastyce, wybudowany zapewne w roku 1940. Poszukiwacz ucieszył się bardzo i zrobił kilka zdjęć znaleziska. Mimo obejścia go dookoła, nie mógł znaleźć wejścia. Zapewne było zasypane. „Rewelacja!” – pomyślał Daniel i ponownie włączył wykrywacz, aby przebadać teren przybunkrowy. Jeszcze dobrze nie ustawił sprzętu, jak usłyszał upragniony dźwięk, wydawany przez urządzenie w chwili odnalezienia metalu. Szybko więc rozpoczął kopanie. Pod niewielką ilością ziemi znalazł stare sprzączki od wojskowych pasów, a także tak zwane „nieśmiertelniki”, dzięki którym dowiedział się kto poległ w pobliżu bunkra. Czas płynął a mężczyzna nadal przeszukiwał teren, odnajdując co chwile jakieś łuski. Znalazł też cztery niemieckie monety oraz, co go chyba najbardziej ucieszyło, łuskę dużego pocisku. Ucieszony udaną wyprawą i zmęczony poszukiwaniami postanowił na chwile usiąść na pobliskim kamieniu. Kiedy jednak podeszedł bliżej okazało się, że nie jest to zwykły kamień! Okazał się bowiem formą upamiętniającą poległych w pobliżu żołnierzy. Rozejrzał się jeszcze raz po okolicy, tym razem dokładnie zwracając uwagę na otaczającą go przyrodę. Nagle dostrzegł wystający z mchu bielejący

fragment. Schylił się i u swoich nóg ujrzał ludzką czaszkę – której wcześniej nie dostrzegł. „To niesamowite!” - powiedział sam do siebie i przykucnął aby zobaczyć ją z bliska. „Może to jeden z tych żołnierzy, których nieśmiertelniki znalazłem?” - pomyślał i wstał.



Foto: Benjamin Earwicker; Freeimages.com

Mężczyzna nie mógł uwierzyć, w to co udało mu się odkryć: stary niemiecki bunkier

i ludzkie szczątki. Dotychczas znajdował tylko łuski po nabojach, stare, zardzewiałe menażki i sztucce. Był tak oszołomiony znaleziskiem, że nie dostrzegł upływu czasu. Kiedy spojrzął na zegarek była godzina szesnasta. Zrobił więc jeszcze kilka zdjęć, pozbierał sprzęt, metalowe znaleziska i wrócił do samochodu. Jadąc do domu, Daniel cały czas rozmyślał o swoim odkryciu. Był bardzo podekscytowany i przejęty do tego stopnia, że nie odczuwał zmęczenia ani głodu. W jego umyśle ciągle widniał obraz ludzkich kości a świst wiatru zderzającego się z jadącym samochodem, przypominał mu dźwięki wojennych bitew... - Nigdy nie zapomnę tego dnia! - pomyślał Daniel i uśmiechnął się pod nosem...

Ryszard Cwiakała



Zaginione kosztowności

...godzina 3.30, noc z soboty na niedzielę, myślałem, że będzie trochę chłodniej. Kolega się spóźnia, niedobrze, akcja miała rozpocząć się jak będzie jeszcze ciemno. Wreszcie jest, kilkanaście kilometrów pokonujemy samochodem, resztę drogi pieszo. Nie chcemy rzucać się w oczy. Pół godzinny marsz ze sprzętem na plecach robi swoje, jesteśmy na miejscu.

Po wstępnych oględzinach terenu, wytyczamy miejsce wykopu. Okazuje się, że pracy będzie dużo, dużo więcej niż nam się wydawało, Bierzemy się do roboty, idzie lekko - piaszczysta gleba to przyjaciel każdego poszukiwacza. Po półtorej godzinie machania łopatami wykop ma już około dwóch metrów głębokości. Sprawdzam wykrywaczem, niestety, nic nie pokazuje. Poszukiwany obiekt musi być jeszcze głębiej, postanawiam użyć sondy. Tapnięcie nastąpiło nagle, przednia ściana wykopu zawałiła się z wielkim hukiem, wytrząsam piach z włosów, niedbale otrzępuję ubranie....

13 lutego roku 1813 Kalisz był świadkiem wielkiej bitwy, która rozegrała się na jego północno wschodnich przedmieściach, pomiędzy uciekającymi z pod Moskwy oddziałami francusko-sasko-polskimi dowodzonymi przez gen. Jean Louis Reyniera, a ścigającymi ich oddziałami rosyjskimi pod dowództwem gen. Ferdynanda von Wintzingerode.

Z tym historycznym wydarzeniem wiąże się pewna legenda o skarbie, a dokładnie o zatopionym nie wiadomo gdzie wozie pełnym kosztowności. Powracające z nieudanej wyprawy do Rosji niedobitki oddziałów napoleońskich,

obozowały w napotkanych po drodze kościołach, klasztorach, dworach, folwarkach, ogoławając te miejsca z przedmiotów przedstawiających jakąkolwiek wartość. Również i miasto Kalisz przyjęło pod swój dach niezbyt wdzięcznych gości, którzy ulokowali się w kościele pobernardyńskim (obecnie jezuickim). I w tym przypadku skarbiec świątyni został doszczętnie ogołoceny. Wszystkie „zarekwirowane” przedmioty transportowano na wozach konnych. Jeden z nich, jak mówi legenda, zatonął w lekko podmarzniętych, pokrytych cienkim lodem mokradłach w Skarszewie, lub też gdzieś pomiędzy Tyńcem a Zawodziem na brzegach Proсны. Niestety dokładne miejsce nie jest znane. Studiując, dostępne na ten temat opracowania, oraz uruchamiając wyobraźnię, możemy nakreślić na współczesnej mapie dokładną drogę przemieszczania się wojsk napoleońskich, z zaznaczeniem punktów, w których być może zatonął skarb.

Jak wspomniałem powyżej, miejsce pierwsze to tereny Skarszewa. Zbliżający się od Kamienia





celowo, jako niewygodny bagaż. O żadnym wozie nie ma mowy. Które z tych miejsc kryje tajemnicę - odpowiedzieć nie potrafię. Czy legendarny „wóz ze skarbami” istnieje do dzisiaj, czy nie jest on tylko piękną opowieścią - nie wiadomo. Można jedynie uwierzyć przysłowiu, że „w każdej legendzie jest ziarenko prawdy”. Być może część zrabowanych dewocjonałów powróci kiedyś do skarbcza Kościoła Pobernardyńskiego....

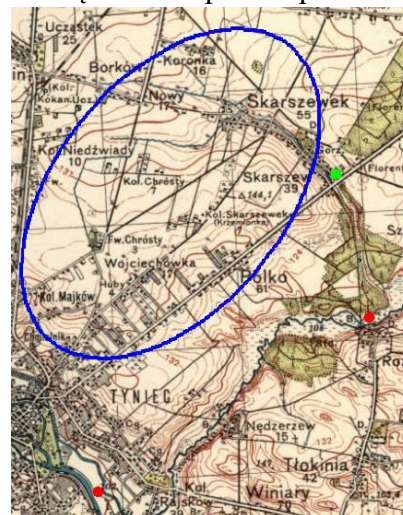
Planując poszukiwania:

Rosjanie, zaskoczyli jeden ze stacjonujących tam oddziałów francuskich, który pośpiesznie musiał się wycofać w kierunku Tłokini Kościelnej. Do tej pory w Lesie Skarszewskim i na polach, szczególnie od strony Kamienia, znaleźć można świadectwa tych wydarzeń w postaci ołowianych kulek, guzików od mundurów, czy nawet drobnych monet z tego okresu. Na podstawie znalezisk jesteśmy w stanie ustalić dokładną drogę ucieczki Francuzów, prowadzącą nas prosto do brodu na Swędni, obecnie około dwudziestu metrów od dzisiejszego mostu na drodze Skarszew – Tłokinia Kościelna, patrząc w kierunku Kalisza.

Swędnia nie była wówczas taką wąską rzeczką jak teraz, lecz około dwukrotnie szerszą rzeką z mokradłami po obu stronach brzegu. Może to właśnie one pochłonęły nasz legendarny wóz? Inny przekaz, zasłyszany od miejscowej ludności, mówi, że to Proсна i jej podmokłe brzegi stały się miejscem zatonięcia zrabowanych kosztowności. Francuzi parci przez Rosjan w stronę rzeki zmuszeni byli mimo mrozu przedostawać się przez nią dokładnie na wysokości dzisiejszego Ośrodka PTTK przy ulicy Łódzkiej .

Przekazy historyczne dość dokładnie opisują to zdarzenie, lecz wspominają jedynie o zatopionych w mokradłach dwóch uszkodzonych armatach, zostawionych tam przez Francuzów

Czerwono zaznaczone miejsca, leżą na terenach krajobrazu chronionego, rzadko, ale jednak odwiedzanych przez odpowiednie służby (straż leśna, straż wędkarska / łowiecka, straż miejska). Teren oznaczony linią niebieską, to w większości pola uprawne – na poszukiwania wystarczy zgoda właściciela.



- miejsce potyczki

● tutaj może być zatopiony wóz

■ ruiny karczmy.

Najczęściej znajdowane „fanty” cała masa ołowianych kulek guziki, odznaczenia, fragmenty broni, monety.

Tekst Roman Kornacki.

Foto. Roman Kornacki.

Ordery, odznaki i odznaczenia wojskowe cz. 8



Krzyż Walecznych 1920, brąz, śr 48,25 mm,



Krzyż Walecznych 1920, brąz, śr 40,31 mm



Krzyż Walecznych 1944, brąz, śr 39,00 mm



Odnaka pamiątkowa, Krzyż na Śląskiej Wstędze Waleczności i Zasługi, metal posrebrzany, śr 48,09 mm,



Krzyż Komandorski Orderu Odrodzenia Polski, wzór 1921, śr 58,5 mm

Katalog został przygotowany w oparciu o materiał dostarczony przez Poznański Dom Aukcyjny oraz Podlaski Gabinet Numizmatyczny. Przedstawione zdjęcia pozostają własnością PDA&PGN.

www.pgnum.pl



20. Międzynarodowe
Targi Książki[®]
w Krakowie

27-30 października 2016

Megalityczne grobowce w Sasinach

Dziesięć monumentalnych grobowców z kamiennymi obstawami sprzed blisko tysiąca lat odkopali archeolodzy w Sasinach (woj. podlaskie). Mimo że formą przypominają neolityczne grobowce - to pochowano w nich chrześcijan - poinformował PAP archeolog dr Michał Dzik.



Foto: Vladimir Markovic, Freeimages.com

Cmentarzisko w Sasinach jest położone na terenie wschodniej Polski - na Wysoczyźnie Drohiczyńskiej. W XI-XIII w., kiedy składano tutaj zmarłych, okolica przechodziła z rąk do rąk - raz znajdowała się pod rządami książąt piastowskich, raz - ruskich. Był to teren pograniczny.

"Na badanym przez nas cmentarzysku chowano wszystkich członków lokalnej społeczności -

zarówno biedniejszych i bogatszych, w tym elitę. Rytuał pogrzebowy był wspólny dla wszystkich. Każdego ze zmarłych umieszczano w obszernych konstrukcjach grobowych, których krawędzie wyznaczały wielkie głazy" - wyjaśnia w rozmowie z PAP kierownik badań wykopaliskowych w Sasinach, dr Michał Dzik z Instytutu Archeologii Uniwersytetu Rzeszowskiego (IA UR).

Groby badane przez archeologów są niemal prostokątne w zarysie. Wewnątrz przestrzeni wyznaczonej przez głązy ważące czasem ponad pół tony, znajdowało się kilka warstw bruku kamiennego, który przykrywał zmarłego, umieszczonego w drewnianej trumnie lub nakrytego całunem. Konstrukcje tego typu miały obszerne rozmiary - średnio 5 na 3,5 m.

Cmentarzysko, zdaniem dr. Dzika, służyło lokalnej społeczności, a nietypowe groby są efektem ewolucji tutejszych zwyczajów pogrzebowych. Choć, według innych hipotez, forma takich grobów mogła zostać przyniesiona na te tereny przez osadników z Mazowsza, a nawet przez przybyłych przez Ruś wojowników skandynawskiego pochodzenia.

"Większość z odkrytych przez nas grobowców była częściowo zniszczona, mimo to rezultaty badań okazały się bardzo interesujące. Znajdujące się w nich pochówki nie zostały bowiem naruszone" - wyjaśnia dr Dzik.

Cmentarzysko jest wyjątkowe z tego względu, że do naszych czasów zachowało się niewiele podobnych założeń. Stało się tak dlatego, miejscowa ludność na terenie Mazowsza i Podlasia (gdzie te występowały) pozyskiwała z nich kamienie na budulec.

"Zaskakujące może być też to, że chowano tutaj chrześcijan, chociaż forma grobów na to mogłaby nie wskazywać - w Wielkopolsce czy Małopolsce w tym czasie dominowały płaskie cmentarze z grobami jamowymi" - opowiada dr Dzik.

Zdaniem badacza, mimo że w XI-XIII w. na pograniczu polsko-ruskim przyjęto już chrześcijaństwo, to nadal zachowało się mnóstwo dawnych, pogańskich zwyczajów. Jednym z nich może być forma grobów.

"W drugiej połowie XI w. zaczęto szybko odchodzić od palenia zmarłych. Równocześnie rezygnowano z sypania dla nich kurhanów, w których pod nasypem ziemnym znajdowała się

zwykle kamienna konstrukcja. Sądzimy, że powodem były zakazy wprowadzane wraz z szerzeniem się chrześcijaństwa. W tym samym okresie upowszechniły się groby w obudowach kamiennych, ale już bez kryjących pochówki nasypów" - przypuszcza archeolog.

W czasie badania poszczególnych grobów archeolodzy odkryli ślady zwyczajów pogrzebowych, które pochodzą z czasów przedchrześcijańskich - takich jak palenie ognisk w obrębie grobu, przed jego zasypaniem, czy też składanie przy zmarłych fragmentów z potłuczonych wcześniej naczyń, być może wykorzystywanych w trakcie styp.

Dr Dzik powątpiewa, czy w czasie uroczystości pogrzebowych na podobnych nekropolach obecni byli chrześcijańscy kapłani, co dodatkowo mogło spowodować, że niektóre dawne zwyczaje wciąż były praktykowane.

Uwagę archeologów zwróciły odkrywane przy pochowanych zmarłych liczne ozdoby - m.in. dziesiątki paciorków szklanych, srebrne i posrebrzane kabłączki skroniowe, zawieszki w formie sierpa księżycy z wpisanym krzyżem (tzw. lunule). Znalezione zabytki wskazują, że przynajmniej część zmarłych chowano w bogatym, zapewne odświętnym stroju.

"Część z ozdób była wykonana bardzo precyzyjnie, przy zastosowaniu złożonych technik jubilerskich. Dla niektórych może być zaskoczeniem, że społeczność uważana za żyjącą na krańcu świata posiadała tak wysoką kulturę materialną" - zauważa badacz.

Cmentarzysko w Sasinach odkryto dwukrotnie - po raz pierwszy już na początku lat sześćdziesiątych XIX w. Wtedy to jego badaniem zajęli się miłośnicy starożytności. Potem o nim zapomniano aż do 2009 r. Pierwsze regularne wykopaliska odbyły się dopiero latem tego roku. Wzięli w nich udział studenci IA UR oraz wolontariusze. Badania sfinansowano ze środków Wojewódzkiego Urzędu Ochrony Zabytków w Białymstoku, przy wsparciu IA UR.

Odkrycie grobu wojownika z okresu wpływów rzymskich

Popielnicowy grób wojownika z wyposażeniem pochodzący z okresu wpływów rzymskich odkryli w Czelinie (Zachodniopomorskie) naukowcy z Muzeum Narodowego w Szczecinie. To kolejne zabytki znalezione na tamtejszym cmentarzysku słabo rozpoznanej grupy lubuskiej.

"Do najbardziej interesujących tegorocznych odkryć należy grób popielnicowy wojownika z okresu wpływów rzymskich" - powiedział PAP w poniedziałek Bartłomiej Rogalski z Muzeum Narodowego w Szczecinie, który prowadził niedawno zakończone badania archeologiczne cmentarzyska w Czelinie.

"W zachowanej w całości popielnicy, poza skremowanymi szczątkami ludzkimi znajdował się także grot oszczepu, nóż, komplet wykonanych z brązu ozdobnych okuć pasa wraz ze sprzączką, okucia dwóch rogów do picia oraz fibula tzw. +serii pruskiej+, która datuje pochówek na wczesny okres wpływów rzymskich" - powiedział Rogalski. Jak dodał, udało się także odkryć zniszczony grób wyposażony w jednosieczny miecz oraz okucia i pochwy.

W tym roku naukowcy odkryli w Czelinie 15 obiektów archeologicznych, wśród których były m.in. trzy groby popielnicowe i dwa jamowe.

"Wszystkie bez wyjątku pochówki są grobami ciałałpalnymi, co stanowi wyróżnik cmentarzyska w Czelinie" - podkreślił Rogalski. "Pozostałe objekty to przeważnie rozległe bruki kamienne zlokalizowane na zachodniej peryferii stanowiska. Było to zapewne miejsce obrzędów

związanych z nekropolią. Badaną w tym roku część cmentarzyska datować można na starszy okres wpływów rzymskich, czyli I-II w. n. e." - dodał.



Foto: SergejSmimow; Freeimages.com

Przez kilka lat prowadzonych badań cmentarzysko dostarczyło łącznie 185 obiektów archeologicznych.

"Cmentarzysko w Czelinie jest obecnie największą nekropolią z okresu wpływów rzymskich znaną na dolnym Nadodrzu. W latach ubiegłych odkryto tu bogaty i różnorodny zestaw zabytków m.in. importowane przedmioty pochodzenia rzymskiego, skandynawskiego, a także wiązane z wpływami kultury przeworskiej

z Wielkopolski oraz Germanów nadłabskich" - powiedział Rogalski.

Przeważająca większość zabytków odnalezionych w Czeline należy do tzw. grupy lubuskiej, która zajmowała od I do III wieku n.e. dolne Nadodrze, Ziemię Wkrzańską, Pyrzycką i Pojezierze Myśliborskie. Grupa lubuska jest słabo rozpoznana archeologicznie i nadal czeka na jednoznaczne zdefiniowanie cech.

Na stanowisku w Czeline, poza zabytkami z okresu wpływów rzymskich, wcześniej znaleziono także grób szkieletowy i ceramikę, które należy wiązać z neolityczną kulturą ceramiki sznurowej. W 2013 r. odkryto tutaj

misternie wykonany grot strzały z krzemienia datowany na początek II tys. p.n.e.

Tegoroczne badania w Czeline prowadzone były z ramienia Muzeum Narodowego w Szczecinie przy wsparciu gminy Mieszkowice. W pracach wzięli udział studenci archeologii uniwersytetów w Szczecinie i Gdańsku.

PAP - Nauka w Polsce

Serwis Nauka w Polsce - www.naukawpolsce.pap.pl.

Przewodnickie Biuro Turystyczne PTTK „TRAKT” zaprasza na

SPACERY JESIENNE PO WARSZAWIE

Cena: **6 zł!**

02.10.2016 r. (niedziela) - godz. 12.00
♦ **NIECODZIENNE HISTORIE STAREGO MOKOTOWA**
Spotkanie z przewodnikiem na pętli tramwajowej Kielecka
Koniec wycieczki pod Centrum Łowicka, ul. Łowicka 21

23.10.2016 r. (niedziela) - godz. 12.00
♦ **NIEZWYKŁE CMENTARZE PRAWOSŁAWNY I KARAIMSKI**
Spotkanie z przewodnikiem przed wejściem na Cmentarz Prawosławny, ul. Wolska 138/140
Koniec wycieczki przed wejściem na Cmentarz Karaimski, ul. Redutowa 34

06.11.2016 r. (niedziela) - godz. 12.00
♦ **TAJEMNICE ŚRÓDMIEŚCIA, CZYLI WILKI Z WILCZEJ**
Spotkanie z przewodnikiem przed Przychodnią Lekarską CePeLek, ul. Koszykowa 78
Koniec wycieczki ul. Mokotowska, róg Wilczej

20.11.2016 r. (niedziela) - godz. 12.00
♦ **SIELSKIE HISTORIE Z SIELC**
Spotkanie z przewodnikiem pod Domem Zabawy i Kultury, ul. Belwederska 44 A
Koniec wycieczki przy przystanku autobusowym Dolna, ul. Belwederska, róg ul. Tureckiej

Spacery prowadzi kol. Sylwia Kasprowicz

Cena obejmuje usługę przewodnicką na całej trasie spaceru.

Uwaga!

Biuro zastrzega sobie możliwość odwołania wycieczki przy zbyt małej liczbie uczestników.

Program wycieczki jest ramowy, kolejność zwiedzania może ulec zmianie.



PBT PTTK „TRAKT” S p. z o. o.
ul. Kredytowa 6, 00-062 Warszawa
tel./fax 22 827-80-68/ -69, www.trakt.com.pl
e-mail: trakt@trakt.com.pl, NIP: 526-02-14-195
BPH S.A. O/Warszawa, 48 1060 0076 0000 4021 4007 2037

Odkrycie kurhanów

Okolo czterdzieści kopców, które usypano ok. 2,5 tys. lat temu, zlokalizowali archeolodzy na terenie Nadleśnictwa Sarbia w północnej Wielkopolsce. Zabytkowe cmentarzysko nie było do tej pory znane naukowcom.



Skupisko kurhanów zlokalizował Maciej Sokołowski z Budzunia, który analizował zdjęcia satelitarne dla potrzeb geologii. Swoimi podejrzeniami - że są to starożytne budowle - podzielił się z lokalnymi archeologami. Ci, po otrzymaniu zgody od Wojewódzkiego Urzędu Ochrony Zabytków (WUOZ) w Poznaniu, rozpoczęli w lipcu i sierpniu br. wykopaliska w obrębie jednego z kopców.

Okazało się, że wyniesienie wytypowane do wykopalisk istotnie jest kurhanem - archeolodzy odkryli dwa rowy okalające, w których widoczne były duże ilości węgla drzewnych oraz fragmenty naczyń ceramicznych. W wewnętrznym, w środku jamy, odkryli spopielone szczątki ludzkie. Jak wyjaśnił w rozmowie z PAP archeolog Piotr Alagierski, który prowadził badania wykopaliskowe, pochowana osoba była najprawdopodobniej dzieckiem. Przy zmarłym nie znaleziono żadnych darów grobowych.



Wiele z kurhanów zachowało się w bardzo dobrym stanie - część z nich do dzisiaj ma prawie 2 m wysokości. Ich średnica wynosi ok. 20 m.

Na podstawie znalezionych fragmentów naczyń ceramicznych badacze ustalili, że cmentarzysko służyło przedstawicielom społeczności kultury jastorfskiej z wczesnej epoki żelaza, czyli sprzed ok. 2,5 tys. lat. Ludność ta wywodziła się z południowej Jutlandii oraz dorzecza dolnej i środkowej Łaby. Utożsamiana jest przez niektórych badaczy z plemieniem germańskich Bastarnów, którzy przemieszczali się z Europy Północnej nad Morze Czarne.

Naukowcy zwracają uwagę, że najbardziej charakterystyczne dla tej kultury są rozległe cmentarzyska, liczące nawet ponad tysiąc pochówków. Biorąc pod uwagę, że nowo odkryte miejsce zostało zlokalizowane z dala od

głównego ośrodka rozwoju kultury jastorfskiej, kurhany z puszczy noteckiej są wyjątkowo cennym odkryciem – uważają.

Urząd konserwatora zapowiedział, że badania wykopaliskowe w obrębie kurhanu, który badano latem, będą kontynuowane w przyszłym roku. "Poznając bardziej szczegółowo dokładny czas funkcjonowania

nekropolii i jej przynależność kulturową będziemy mogli wpisać to wyjątkowe stanowisko do rejestru zabytków i objąć je należytą ochroną prawną" – dodaje przedstawicielka WUOZ, Romualda Bartkowiak.

Dodatkowo, z uwagi na to, że obszar ten zaskoczył archeologów pod względem obfitości odkryć archeologicznych, zamierzają teraz przeprowadzić na terenie Nadleśnictwa Sarbia szeroko zakrojony projekt badawczy. „Jego celem będzie zarejestrowanie wszelkich śladów dawnego osadnictwa, które nie były dotąd odnotowane przez nasze służby” – wyjaśnia Bartkowiak, która jest inicjatorką przedsięwzięcia.

Tegoroczne wykopaliska finansowane były ze środków WUOZ w Poznaniu.

PAP - Nauka w Polsce

Serwis Nauka w Polsce - www.naukawpolsce.pap.pl.

Naszyjniki i bransolety sprzed około 2,5 tys. lat

Trzy naszyjniki zdobione ornamentem rytym - w tym jeden z uszkami na obwodzie - oraz bransoletę pochodzącą z epoki brązu, sprzed około 2,5 tys. lat, odnaleziono w miejscowości Drażdżewo Małe - poinformowało Mazowieckie Stowarzyszenie Historyczne "Exploratorzy.pl".



Foto: Joe Zlomek; Freeimages.com

Mazowieckie Stowarzyszenie Historyczne "Exploratorzy.pl" poinformowało o znalezisku na swojej stronie internetowej. Jego odkrywca - Przemysław Wojtasiak - zgłosił ten fakt stowarzyszeniu. Skarb następnie trafił do archeolog Małgorzaty Balcerzak z

Wojewódzkiego Urzędu Ochrony Zabytków Delegatura w Ostrołęce.

"Znalezisk z epoki brązu odnajduje się nieszczerólnie dużo. To przedmioty, które mają około trzech tysięcy lat, więc bardzo często są w bardzo słabym stanie. Czasami są odnajdowane na polach ornych, więc przez prowadzone prace rolnicze są po prostu w częściach" - powiedział PAP Adrian Kłós, wiceprezes stowarzyszenia. "Naszyjniki i bransolety odnaleziono na terenach, na których najprawdopodobniej nie prowadzono intensywnych prac rolnych, dlatego stan tego znaleziska jest tak dobry" - dodał.

W skład znaleziska wchodzi trzy naszyjniki z brązu zdobione ornamentem rytym, w tym jeden z dodatkowym zdobieniem w postaci dodatkowych uszek na obwodzie, oraz jedna bransoleta.

"Archeolodzy i historycy głowią się, jak tzw. naszyjnik uszkowy mógł do nas dotrzeć. Na tych terenach nikt wcześniej nie spotkał się z tego typu ornamentyką. Jeśli już je gdzieś odnajdywano, to zwykle bez uszek" - podkreślił Kłós. "To szczególnie cenne przedmioty dzięki ich dobremu stanowi, ilości przedmiotów odnalezionych jednocześnie i właśnie tym uszkom" - dodał.

W rejonie znaleziska trzy lata temu odnaleziono także dwa szylety z wczesnej epoki brązu. Jeden z nich to - jak czytamy na stronie stowarzyszenia - być może tzw. berło szyletowe, czyli "artefakt ówczesny stanowiący oznakę władzy i zamożności". Zdaniem Kłosa kolejne odnalezione elementy mogą być dowodem na istnienie osadnictwa na tych ziemiach.

Przedmioty, które - jak mówił Kłós - z całą pewnością należy powiązać z kulturą łużycką, mogły stanowić element wyposażenia zmarłego w grobie ciałopalnym.

"Zwłoki umieszczano na stosie, czasami z rzeczami zmarłego. Przy ciele kładziono przedmioty prywatne lub związane z pracą, np. koraliki przy ciałach szwaczek. Po spaleniu ciała pozostałości zbierano i składano w ceramicznych

urnach. Najprawdopodobniej z takiej urny pochodzi odnaleziona biżuteria" - wyjaśnił Kłós.

W miejscu odkrycia znaleziska w najbliższym czasie odbędzie się wizja lokalna z konserwatorem, po czym zostaną podjęte decyzje o ewentualnych etapach prac. "Następnie biżuteria zostanie poddana konserwacji i opracowaniu naukowemu. Potem trafi do lokalnego muzeum, może do stałej ekspozycji" - skomentował Kłós.

Mazowieckie Stowarzyszenie Historyczne "Exploratorzy.pl" zrzesza pasjonatów historii różnych profesji. Celem organizacji jest szerzenie wiedzy o Mazowszu przez organizowanie wystaw, szkoleń, pokazów, rekonstrukcji i poszukiwań terenowych.

PAP - Nauka w Polsce

Serwis Nauka w Polsce - www.naukawpolsce.pap.pl.



KAROL
MUSICAL O ŻYCIU
JANA PAWEŁA II

WIDOWISKO Z UDZIAŁEM:
ANNY WYSZKONI
PIOTRA CUGOWSKIEGO
WOJCIECHA CUGOWSKIEGO

WWW.MUSICAL-KAROL.PL

**TAURON ARENA KRAKÓW,
25 LUTEGO 2017 R., GODZ. 18.00**

Tysiące zabytków wynikiem wykopalisk w zaginionym mieście

Kościane grzebień, żelazne noże, bogato zdobione okucia pasów mieszczańskich i rycerskich, monety - to część zabytków odkrytych w czasie pierwszych wykopalisk na terenie średniowiecznego miasta, Dzwonowa (Wielkopolska). Archeolodzy zlokalizowali je w 2014 r.

W ostatnim dziesięcioleciu w Polsce dzięki fotografii lotniczej odkryto również dwa inne zaginione średniowieczne miasta – pierwszą lokację Szamotuł oraz Nieszawę. Nowo odnaleziony ośrodek nazywał się Dzwonowo, ale najczęściej występował w literaturze w odmianie Swanow lub Zwanowo. Miasto położone jest w rejonie Puszczy Zielonki. Pierwsze wzmianki o nim pochodzą z początku XIV w.

Latem archeolodzy skupili się na wykopaliskach w dwóch miejscach - cmentarzu, na którym od XIV do XVIII w. grzebano mieszkańców Dzwonowa, i na terenie rynku miejskiego.

"Wyniki wykopalisk przerosły nasze najśmielsze oczekiwania" - mówi PAP archeolog kierujący badaniami z ramienia Muzeum Regionalnego w Wągrowcu i jednocześnie odkrywca zaginionego miasta, Marcin Krzepakowski.

W pierwszym tygodniu wykopalisk archeolodzy przebadali 21 grobów. Jednemu ze zmarłych umieszczono w ustach monetę. Był to szeląg Zygmunta III Wazy, dzięki czemu naukowcy mogli określić czas pochówku na pierwszą poł. XVII w. Nekropolia dzwonowska związana była z kościołem p.w. św. Michała rozebrany prawie 250 lat temu.

"Niestety, dokładna lokalizacja świątyni jak na razie pozostaje niewiadomą" - dodaje Krzepakowski.

Od wschodu cmentarz przylegał do obwałowań ziemnych miasta, których istnienie również udało się archeologom potwierdzić podczas tegorocznych prac.

"Bardzo ciekawe wyniki przyniosły wykopy wytyczone przy dawnym rynku miejskim. Natrafiłszy tu na pozostałości średniowiecznej zabudowy, z której zachowały się pozostałości zasypanych piwnic, których ściany zbudowane były z drewna" - opowiada archeolog.

Podczas wykopalisk okazało się, że XIV-wieczna zabudowa jednej z działek mieszczańskich spaliła się wraz z częścią podziemną. Wkrótce jednak przystąpiono do odbudowy domostwa, wznosząc nieco mniejszą piwnicę.

Zdaniem Krzepakowskiego możliwe jest, że ślady pożaru można wiązać z działaniami wojny domowej toczącej się w Wielkopolsce w latach 80. XIV w.

Z wnętrza piwnic archeolodzy wydobyli olbrzymią ilość zabytków. Jednym z najcenniejszych jest denar Władysława Łokietka z lat 1312-1333 - to, zdaniem Krzepakowskiego, piąty taki dotąd znany egzemplarz. Archeolodzy znaleźli też grzebień, kamienne osełki, żelazne noże i krzesiwa, bogato zdobione okucia pasów mieszczańskich i rycerskich.

"Odkryte przez nas zabytki dają świadectwo bogatej kultury materialnej mieszczan" - uważa badacz.

Tegoroczne badania były finansowane ze środków Wojewódzkiego Konserwatora Zabytków w Poznaniu. W listopadzie archeolodzy ponownie udadzą się w teren. Wtedy przeprowadzą badania nieinwazyjne w ramach projektu dofinansowanego przez Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego. Jednocześnie będą szukać reliktyw wsi poprzedzającej lokację miasta.

Miejsce odkrycia średniowiecznego miasta położone jest w rejonie słabo rozpoznany przez archeologów – to porośnięta gęstym lasem

Puszcza Zielonka położona na północ od Poznania. Archeolodzy z reguły odkrywają osady czy cmentarzyska w czasie badań powierzchniowych, które polegają na poszukiwaniu fragmentów naczyń ceramicznych czy innych zabytków na polach uprawnych tuż po orce. Lasy skutecznie utrudniają takie działania. Dzwonowo odkryto tylko dzięki temu, że jego relikty znajdują się na polach uprawnych otoczonych przez las. Marcin Krzepakowski zauważył zarysy miasta w czasie analizy zdjęć opublikowanych w Geoportalu.

PAP - Nauka w Polsce

Serwis Nauka w Polsce - www.naukawpolsce.pap.pl.

Foto: Bettina Schwehn; Freeimage.com



Monety Rzeczpospolita Polska 1918-1939



10 złotych 1933, Warszawa, Parchim. 121, Sobieski



Grosz 1930, Warszawa, Parchim. 101e



2 złote 1925, Philadelphia, Parchim. 109e, bez kropki po dacie



5 groszy 1934, Warszawa, Parchim. 103f, *rzadki rocznik*



2 złote 1924, Paryż, Parchim. 109a



2 złote 1933, Warszawa, Parchim. 110b, głowa kobiety



2 złote 1925, Londyn, Parchim. 109d



10 złotych 1932, Warszawa, Parchim. 120a, głowa kobiety, ze znakiem mennicy



5 złotych 1930, Warszawa, Parchim. 115a

Katalog został przygotowany w oparciu o materiał dostarczony przez Poznański Dom Aukcyjny oraz Podlaski Gabinet Numizmatyczny. Przedstawione zdjęcia pozostają własnością PDA&PGN.

www.pgnum.pl

Samorządowe Centrum Kultury i Promocji Gminy Zabierzów,
Galeria „Na Piętrze”

zapraszają na wystawę



Wojtek Kaczówka

...takie moje krakowskie...fotografie

Wernisaż w niedzielę 6 listopada 2016 roku, o godz. 18.00

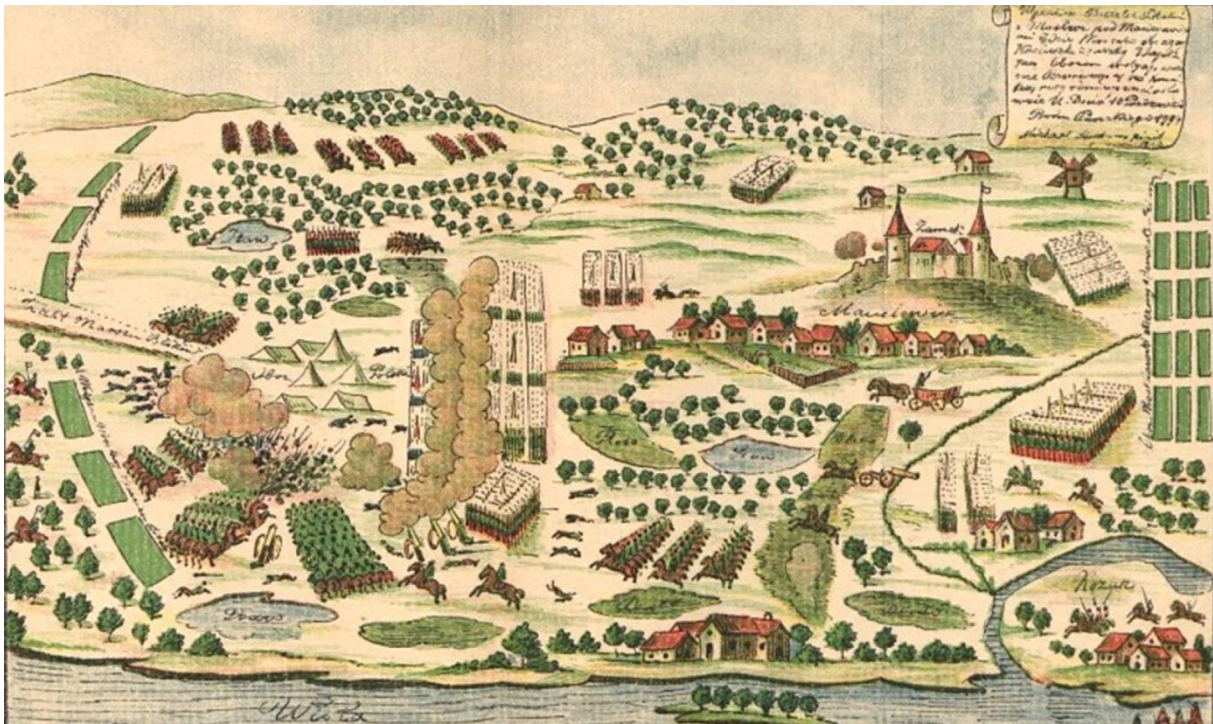
Galeria „Na Piętrze”, Zabierzów, ul. Szkolna 2

Wystawę można oglądać od 6 listopada do 6 grudnia 2016 roku. Galeria „Na Piętrze” otwarta: pon. - pt. w godz. 9.00 - 18.00

Samorządowe Centrum Kultury i Promocji Gminy Zabierzów
Galeria Na Piętrze

Bitwa pod Maciejowicami

Sytuacja sił polskich na jesieni 1794 roku nie była dobra. W sierpniu Rosjanie zdobyli Wilno i praktycznie usunęli powstańców z Litwy. Warszawa obroniła się przed szturmem połączonych wojsk prusko-rosyjskich.



Prusacy po odstąpieniu spod Warszawy bezskutecznie ścigali korpus gen. Henryka Dąbrowskiego po Wielkopolsce. Korpus rosyjski pod wodzą gen. Fersena zwrócił się natomiast na południe w stronę Warki. Od wschodu nadciągał inny rosyjski korpus gen. Suworowa, zaś Małopolska była okupowana przez (dość nieliczne) siły austriackie.

Tadeusz Kościuszko liczył na dwa czynniki, które mogły uratować powstanie od klęski. Po pierwsze na większe zaangażowanie Prus i Austrii na zachodzie - od 1792 trwała wojna Prus Austrii i Wielkiej Brytanii przeciw rewolucyjnej Francji. Wojna ta toczyła się coraz bardziej niepomysłnie dla zaborców. Po drugie na to, że Rosjan zdoła pobić samodzielnie, dopóki ich korpusy są rozproszone po

całym terytorium dawnej Rzeczypospolitej.

Pierwotny plan Kościuszki zakładał zablokowanie rosyjskiego korpusu Fersena na zachodnim brzegu Wisły przy pomocy dywizji gen. Adama Ponińskiego i pokonanie korpusu Suworowa resztą dostępnych sił. Plany uległy jednak błyskawicznej zmianie, gdy okazało się, że 4 października Fersen zaczął przeprowadzać się przez Wisłę w okolicach Maciejowic, 75 km na południe od Warszawy.

Kościuszko ruszył naprzeciw Fersena i 9 października zajął obronną pozycję na wzgórzu Podzamcze naprzeciw obozu wojsk rosyjskich. Wskutek nadmiernej ostrożności lub zaniedbania Naczelnik zostawił za sobą wcześniej wzmiankowaną dywizję Ponińskiego liczącą 3 tys. żołnierzy. Sam dysponował jedynie 6 tys. żołnierzy wobec ok. 12 tys. Rosjan. Przy tak znacznej przewadze Rosjanie w nocy

niemal okrążyli polskie pozycje i ruszyli do ataku o świcie 10 października. W bitwie oprócz przewagi liczebnej Rosjan zaznaczyło się wyraźnie ich lepsze wyposażenie w działa i broń palną. Po stronie polskiej zawiedli kosynierzy, którzy (czemu trudno się dziwić) nie utrzymali pozycji będąc bezkarnie ostrzeliwani przez Rosjan. Dużą rolę odegrało też niedoceniecie przez Kościuszkę rosyjskiej piechoty, która obeszła polskie pozycje przez, wydawałoby się, nieprzebyte bagno.

Bitwa zakończyła się kompletną klęską i dużymi stratami po stronie polskiej. Ciężko ranny został też Kościuszko pchnięty parę razy spisą kozacką i cięty pałaszem w głowę. Przegrana pod Maciejowicami zwiastowała rychły upadek powstania. 4 listopada Rosjanie zdobyli Warszawę, a 23 listopada zakończył się ostatni sejm Rzeczypospolitej zatwierdzający III rozbiór.

Ilustracja w tle: Plan bitwy pod Maciejowicami. Rysunek M. Stachowicza. Źródło: [Polona](#)

Creative Commons Uznanie autorstwa 3.0 Polska. Pewne prawa zastrzeżone na rzecz Muzeum Historii Polski

11 LISTOPADA SPOTKAJMY SIĘ NA ZAMKU
GODZ. 12:00

W CHOBIENI

- defilada ułanów
- pokazy kawaleryjskie
- wystawa zabytkowych aut
- widowisko batalistyczno-historyczne
- przejażdżki terenowe pojazdami militarnymi
- występ Teatru Na Końcu Świata z Nieszczyk
- zwiedzanie zamku z przewodnikiem
- show ognia i fajerwerków
- strzelnica wojskowa
- kuchnia polowa
- konkursy z nagrodami

WSTĘP WOLNY !

Patronat: Wójt Gminy Rudna

CHOBIAŃSKI OŚRODEK KULTURY
Fundacja
Kierok

Delegalizacja „Solidarności”



Z prof. **Wojciechem Roszkowskim** rozmawia Adam Tycner

Jakie były podstawy prawne legalizacji "Solidarności"? Czy powstanie opozycji było zgodne z prawem PRL?

Z punktu widzenia prawa PRL powstanie "Solidarności" było właściwie nielegalne. Trudno jednak wydać jednoznaczną opinię w tej sprawie, ponieważ ówczesne prawo było takie, jakie w danym momencie władze partyjne uważały za korzystne.

Postrzegały one prawo w kategoriach marksistowskich. Oznacza to, że podstawą prawomocnych działań jest wola klasy panującej, czyli - upraszczając - członków PZPR. W 1980 roku partia zezwoliła na tworzenie się wolnych związków zawodowych, ale już dwa lata później je zdelegalizowała bez żadnej konkretnej podstawy prawnej. Myślę jednak, iż delegalizację "Solidarności" należy interpretować na płaszczyźnie politycznej. W okresie PRL prawie wszystkie działania obywateli, tym bardziej opozycji, stawały się polem walki politycznej. "Solidarność"

uznano za organizację nielegalną w listopadzie 1982 roku, a więc niecały rok po wprowadzeniu stanu wojennego. Dlaczego? Władza wojskowa, czyli WRON nie chciała od razu przeciwstawić sobie mas członkowskich związku. Stan wojenny ogłoszono pod hasłem walki tylko ze "złymi elementami" w nim. Delegalizacja oznaczała więc porażkę władzy, której plan nawiązania współpracy z częścią kierownictwa opozycji okazał się niemożliwy do zrealizowania.

Co działo się z "Solidarnością" po jej zdelegalizowaniu?

Delegalizacja "Solidarności" odegrała pewną symboliczną rolę w życiu narodu, jednak nie tak wielką, jak byśmy się spodziewali. Przed wszystkim należy powiedzieć, iż - mimo że utrata prawomocności ograniczyła działalność związkowców - istnienie podziemia "Solidarności" opierało się na zasadzie dynamiki politycznej. Wielu członków organizacji nadal wierzyło w wygraną z komunistyczną władzą. W tym samym czasie rosła jednak liczba osób, które nie widziały po listopadzie 1982 roku szansy na obalenie stanu wojennego.

W jaki sposób władza partyjna walczyła z "Solidarnością"?

Aparat PZPR używał rozmaitych metod, szczególnie walczono na zasadzie "dziel i rządź". Sposób ten polegał na uruchomieniu tajnych agentów partyjnych w szeregach "Solidarności". Takie działanie miało doprowadzić do przeciwstawienia sobie związkowców, do wystąpienia znacznej części osób z "Solidarności", a w dalszej kolejności do rozpadu opozycji. Przeciwno związkowi

występowała także propaganda PRL, która przyjęła kierunek cyniczny. Sygnalizowano więc społeczeństwu, że wobec potęgi systemu jest bezbronny. Rzecznik prasowy rządu Jerzy Urban uprawiał tego rodzaju politykę medialną. Odsłaniał on zasadę tzw. nagiej siły, którą należałoby interpretować jaką jedyną rację.

Jaka była reakcja Zachodu na sytuację "Solidarności" w stanie wojennym?

Opinia krajów zachodnich okazała się pomocna w utrwaleniu działalności "Solidarności" oraz oporu społecznego. Swego wsparcia udzielił związkowcom prezydent USA Ronald Reagan, który w styczniu 1982 roku ogłosił międzynarodowy dzień solidarności z Polską. Dołączyły do niego rządy państw zachodnioeuropejskich, występując jawnie przeciwko polityce Wojciecha Jaruzelskiego. Poza tym organizowano akcje zbierania żywności i odzieży dla polskich obywateli, a także prowadzono działalność medialną. Społeczeństwo zyskało świadomość, że może liczyć na wsparcie krajów zachodnich, mimo prób izolacji ze strony władzy partyjnej. Okazana Polakom pomoc miała nie tylko wydzwięk materialny, lecz także w istotny sposób podbudowała morale narodu.

Prof. Wojciech Roszkowski - historyk, poseł do Parlamentu Europejskiego. Członek Rady Programowej MHP. Wieloletni wykładowca Szkoły Głównej Handlowej i wielu uczelni w kraju i zagranicą. Przed 1989 r. związany z opozycją demokratyczną. Autor wielu prac i artykułów historycznych, w tym najpopularniejszego podręcznika historii najnowszej - serii *Historia Polski*.

Ilustracja: karykatura z czasu stanu wojennego Macieja Mieźiana "WRON-a, WRON-a über alles", Wikimedia Commons, CC BY-SA.

Creative Commons Uznanie autorstwa 3.0 Polska. Pewne prawa zastrzeżone na rzecz Muzeum Historii Polski

Niemcy 1940 – 1945 7,92 x 57 Mauser, cz.3



Producent: Servotechna AG, Praga;
wyprodukowano w 1943 roku; nabój szkolny
z mosiądzu 72 (72% Cu, 28% Zn).



Producent: Teuto-Metallwerke GmbH,
Osnabrück; pierwsza seria z 1943 roku; łuska
stalowa wzmocniona.



Producent: Patronen-Zündhütchen-u.
Metallwarenfabrik A.G., wcześniej Sellier &
Bellot, Vlasim; druga seria z 1940 roku;
łuska stalowa miedziana (binetalowa).



Producent: Waffenwerke Brünn A.G.,
Povaszka Bystrica; trzecia seria z 1940 roku;
łuska stalowa miedziana (binetalowa).



Producent: Patronen-Zündhütchen-u. Metallwarenfabrik A.G., wcześniej Sellier & Bellot, Vlasim; pierwsza seria z 1940 roku; łuska stalowa miedziana (bimetalowa).



Producent: Sellier und Bellot, Vlasim; czwarta seria z 1942 roku; łuska stalowa wzmocniona.



Producent: Deutsche Waffen-u. Munitionsfabriken A.G., Lübeck-Schlutup; druga seria z 1945 roku; łuska stalowa wzmocniona z jednym kanałem zapłonowym.



Producent: Kabel-u. Metallwerke Neumeyer A.G., Nürnberg; trzynasta seria z 1943 roku; łuska stalowa wzmocniona.



Producent: Hasag, Hugo Schneider A.G., Abteilung Lampenfabrik, Leipzig; dziewiąta seria z 1944 roku; łuska stalowa wzmocniona.



Producent: Hasag, Hugo Schneider A.G., Berlin-Köpenick; piąta seria z 1941 roku; łuska stalowa.



Producent: Hasag, Hugo Schneider A.G., Altenburg; czwarta seria z 1943 roku; łuska stalowa wzmocniona.



Producent: Waffenwerke Brünn, Bystrica; pierwsza seria z 1942 roku; łuska stalowa.



Producent: Polte, Magdeburg; wyprodukowano w 1940 roku; nabój warsztatowy, chromowany. Wyprodukowany dla Wehrmachtu



Producent: Polte, Magdeburg; czwarta seria z 1941 roku; nabój warsztatowy, chromowany

JARO

Drugi pokój toruński



kształtowała się jej sytuacja międzynarodowa?

Z prof. **Marianem Biskupem**
rozmawia Ewa Zientara

Czy w dobie drugiego pokoju toruńskiego Polska otrzymała wsparcie dyplomatyczne ze strony innych państw, czy też musiała działać samotnie? Jak

Wiosną 1466 roku sytuacja Polski stawała się coraz bardziej korzystna. Pośrednikiem w zawarciu pokoju toruńskiego był legat papieski Rudolf z Rudesheimu, biskup Lavantu. W połowie tego roku Polska miała do wyboru: albo kontynuować do ostatniego żołnierza walkę we wschodniej części Prus, przy pomocy stanów pruskich,

albo posłuchać propozycji, która została złożona przez papieżstwo jako pośrednika w traktacie pokojowym. Król Kazimierz Jagiellończyk miał już serdecznie dosyć tej bardzo kosztownej, prawie trzynastoletniej wojny, a poze tym miał ochotę na zaangażowanie Jagiellonów w kierunku południowym, a mianowicie w Czechach. Tam przeciwko władcy, królowi Jerzemu z Podiebradów, "prawicowemu" husycie, wystąpiła część społeczeństwa, a papieżstwo chciało go usunąć z tronu czeskiego. Istniała możliwość, że następcą Jerzego z Podiebradów zostanie nasz Jagiellon, syn Kazimierza - Władysław Jagiellończyk. Dlatego też król wybrał misję pokojową za pośrednictwem legata papieskiego, licząc na to, że w traktacie uda się uzależnić Zakon od Korony Polskiej.

Dlaczego rokowania prowadzono w Toruniu?

Ponieważ było to miasto najbardziej związane z wydarzeniami trzynastoletniej wojny Polski i stanów pruskich z Zakonem Krzyżackim. Oprócz tego był po prostu położony w dogodnym miejscu - nad była granicą Polski i państwa krzyżackiego w Prusach. Ponadto sam Toruń bardzo aktywnie uczestniczył w wojnie. No i wreszcie miał dobre warunki kwaterek: pod miastem znajdował się zamek królewski, który mógł stanowić rezydencję króla i jego otoczenia, a samo miasto miało wystarczająco dużo pomieszczeń, na czele z ratuszem staromiejskim, by można zostać zakwaterowane wszystkie osobistości, które tam przyjechały - zarówno z zagranicy, jak i z Polski.

Jakie były najważniejsze postanowienia drugiego pokoju toruńskiego?

Warunki traktatu były rezultatem przewlekłej, prawie trzynastoletniej walki zbrojnej Polski jagiellońskiej i stanów pruskich z Zakonem Krzyżackim. Wojna

toczyła się o to, by zakon zaakceptował zerwanie stanów pruskich z władzą krzyżacką i odstąpienie znacznych terytoriów na rzecz Polski. W drugim pokoju toruńskim Zakon oddał więc Polsce ziemię chełmińską i Pomorze Gdańskie z ujściem Wisły - to było bardzo ważne - aż po Mierzę Wiślaną. Były to w większości ziemie, które do początków XIII wieku były pod zwierzchnictwem Piastów. Oprócz tego, Zakon rezygnował z północno-zachodniej części Prus właściwych, a więc ze stołecznego Malborka z Żuławami - to również było bardzo ważne - i Elbląga, najpoważniejszego miasta w strefie północnopruskiej, oraz zachodniej części okręgu Pasłęka. Zrzekał się też opieki nad biskupstwem chełmińskim, w związku z czym Warmia biskupia przechodziła pod opiekę Polski. Pozostałe ziemie Prus właściwych - tak zwane Prusy Dolne z biskupią Sambią i Prusy Górne oraz ziemie nad Zalewem Wiślanym wraz z Pomezanią biskupią - pozostawały w użytkowaniu Zakonu jako jego władztwo terytorialne. Jednak traktat toruński stwierdzał wyraźnie, że do Królestwa Polskiego zostaje włączona całość, podkreślam: całość ziem pruskich, które stanowią z nim "jedno i niepodzielne ciało". Była to więc tak zwana inkorporacja, czyli wcielenie całości ziem pruskich do Korony Polskiej.

Oprócz tego Zakon musiał uznać zasadę podległości królowi polskiemu jako jedynemu - obok papieża - panu i opiekunowi, wobec którego miał określone obowiązki. Każdy nowo obrany wielki mistrz miał składać królowi przysięgę wierności w imieniu własnym oraz urzędników i ziem pruskich. Jednocześnie zobowiązywał się do zachowania postanowień traktatu toruńskiego. Wielki Mistrz stawał się jednocześnie księciem i radcą, czyli senatorem królewskim. W związku z tym ciążyły też na nim dalsze obowiązki, na przykład uczestnictwo w radzie królewskiej na wezwanie władcy polskiego, łącznie z prawem

uczestniczenia w elekcji nowego króla polskiego. Zobowiązany był także do udzielania Polsce pomocy wojskowej, choć powinność tę odroczone na okres dwudziestu lat. Samodzielność Zakonu w sprawach polityki zewnętrznej - przymierzy i wojen - także została ograniczona na rzecz króla polskiego. Warunki te dowodzą, że Zakon ze swymi ziemiami pruskimi stawał się faktycznie lennikiem państwa polskiego, chociaż nie zaznaczono tego wyraźnie w traktacie. Od tego momentu miał stanowić z nim - jak zapisano w traktacie - "jedno niepodzielne ciało, jeden naród, jeden lud w przyjaźni, w przymierzu i jedności". Traktat zabraniał także Krzyżakom zabiegać u czynników postronnych o zwolnienie z przysięgi.

Inne postanowienie mówiło, że Zakonu do połowy jego składu mieli być przyjmowani poddani Królestwa Polskiego, czyli z Korony i z królewskiej części Prus. Mogło to w przyszłości doprowadzić do spolonizowania Zakonu i radykalnej zmiany jego społecznego i etnicznego oblicza. Traktat zapewniał także amnestię dla poddanych króla i Zakonu oraz pełną swobodę kontaktów handlowych obu części Prus.

Dla której ze stron traktat był bardziej korzystny?

Postanowienia traktatu nie były w całej pełni korzystne dla Polski. Stanowiły one wyraźne pomniejszenie tzw. aktu inkorporacji Prus z roku 1454, gdyż pozostawiły Zakon w ich części wschodniej, co nadal stanowiło groźne ogniwo powikłań nad Bałtykiem. Oprócz tego ustalenia toruńskie zakładały konieczność potwierdzenia traktatu przez papieżstwo, którego formalne zwierzchnictwo nad Prusami zostało utrzymane. Dawało to papieżowi możliwość wykorzystania sprawy Prus w rozgrywkach politycznych, co rzeczywiście nastąpiło. Niezupenie

precyzyjne określenie w traktacie sytuacji prawnej ziem Zakonu umożliwiło w przyszłości taką jej interpretację, która podważała faktycznie lenny charakter tego terytorium i umożliwiała podjęcie walki o obalenie postanowień traktatu toruńskiego. Z tego powodu dla wschodniej części Prus traktat przestał obowiązywać już w roku 1525. Wtedy zastąpił go traktat krakowski i powstało świeckie, lenne księstwo - Prusy Książęce. Dzieło traktatu toruńskiego okazało się więc najtrwalsze w odniesieniu do prawnej akceptacji przynależności do Polski Pomorza Gdańskiego, ziemi chełmińskiej i Powiśla, które jako Prusy Królewskie w sposób nienaruszalny związane zostały z Koroną Polską na trzy stulecia, aż do pierwszego rozbioru Rzeczypospolitej.

Czy nie było możliwości inkorporacji wschodniej części Prus Książęcych do Polski, tak jak Prus Królewskich?

Możliwość była, ale istniały różne czynniki, które przeszkadzały w podjęciu takiej decyzji. Wszystko to wymagało walki zwłaszcza z ostatnim wielkim mistrzem w Prusach Albrechtem Hohenzollernem-Ansbach, który całymi latami starał się o obalenie postanowień traktatu, uzyskanie niezależności, a nawet zagarnięcie Prus Królewskich. Wreszcie w 1519 roku wybuchła wojna, w której na teren Pomorza Gdańskiego wkroczyły wojska przysłane z terenu Rzeszy Niemieckiej na pomoc Albrechtowi. Na szczęście żołnierze nie zostali opłaceni i się rozeszli, ale wojna dalej wisiała w powietrzu przez pięć lat. Polska przez cały czas musiała czuwać i troszczyć się o bezpieczeństwo ziem nadwiślańskich. Dlatego w Krakowie w kwietniu 1525 roku wolano zgodzić się na wariant pośredni, czyli tak zwaną sekularyzację Prus Krzyżackich w zamian za uznanie przez Albrechta, że jest w całej pełni lennikiem Polski. To, czego zabrakło w traktacie toruńskim, zostało dopowiedziane w traktacie krakowskim. Ale nadal istniała

szansa, że po wygaśnięciu południowej linii Hohenzollernów-Ansbach Prusy Książęce zostaną w pełni włączone do Królestwa Polskiego, tak jak to stało się z Prusami Królewskimi. W tej sprawie zabrakło jednak konsekwencji. Gdy w Hohenzollernowie południowej linii

niemieckiej wymarli, wówczas - ostatecznie w 1657 roku - dopuszczono Hohenzollernów brandenburskich. Następnym etapem był pierwszy rozbiór Polski w roku 1772 i zabór Prus Królewskich przez Prusy brandenburskie.

Prof. dr hab. **Marian Biskup** - historyk, zajmuje się historią średniowiecza i nowożytną, zwłaszcza Pomorza i Zakonu Krzyżackiego. Opublikował m.in. książki: *Trzynastoletnia wojna z Zakonem Krzyżackim 1454-1466* (1967); *Polska a Zakon Krzyżacki w Prusach w początkach XVI wieku* (1983); *Wojna Pruska, czyli walka Polski z zakonem krzyżackim z lat 1519-1521* (1991).

Ilustracja: obraz Mariana Jaroczyńskiego z 1873 r. "II Traktat Toruński", Wikimedia Commons, domena publiczna.



wykrywacze metali
PENELEKTRONIK
GWARANCJA SUKCESU
SOLFERNUS

dzwoń już teraz
504 458 599
58 551 42 98

www.wykrywacze.com.pl
wykrywacze@wykrywacze.com.pl

Dzień Pamięci o Cywilnej Ludności Powstańczej Warszawy

„Ofiarna zdeterminowana postawa mieszkańców Warszawy spowodowała, że Powstanie utrzymało się przez 63 dni. (...) Ustanawiając 2 października Dniem Pamięci o Cywilnej Ludności Powstańczej Warszawy oddajemy im sprawiedliwość, czcimy pamięć pomordowanych, których tak wielu spoczywa nadal bezimiennie na Cmentarzu Powstańców Warszawy na stołecznej Woli. Dajemy wyraz naszego przywiązania do idei wolności i poszanowania ludzkiej godności, które są dla nas wartością najwyższą” – to fragmenty z sejmowej uchwały ustanawiającej 2 października Dniem Pamięci o Cywilnej Ludności Powstańczej Warszawy.



Nazwa długa, nieco niezręczna, bo trudna do zapamiętania. Ale też i trudno byłoby

wymyślić inną, bardziej zgrabną. To jeden z kolejnych, dość licznie ustanawianych

przez polski parlament Dni Pamięci. Jest ich wiele, wiedza o niektórych z nich pewnie nawet nie przebiła się do opinii publicznej. Ale mimo, że jest to nowa forma wspólnotowego przeżywania ważnych spraw z naszej przeszłości, to kilka z Dni Pamięci weszło już na trwałe do powszechnej świadomości. Tak jest z 1 marca, czyli Dniem Pamięci O Żołnierzach Wyklętych. Oraz oczywiście z 1 sierpnia, czyli datą, której znaczenie nie trzeba tu wyjaśniać. Można przypuszczać, że 2 października – Dzień Pamięci o cywilnej stronie Powstania – też znajdzie ugruntowane miejsce.

To nie jest pobożne życzenie niżej podpisanego, ale wynik obserwacji tego, jak ewoluują spontaniczne formy celebrowania pamięci Powstania Warszawskiego. Warto odnotować fakt, który nie jest przejawem miejskiego folkloru, ale sygnałem postępującej zmiany: 1 sierpnia tego roku dużo więcej ludzi zebrało się nie w tradycyjnym miejscu czci, czyli na Powązkach Wojskowych, lecz gdzie indziej. W miejscu pod względem historycznym przypadkowym, bo na Rondzie Dmowskiego. Tysiące ludzi, w większości bardzo młodych, przyszło tam, aby wspólnie przystanąć w godzinie W. Tak, aby wszyscy widzieli zamarłe na moment miasto. W miejsce celebry wyciszonej wchodzi wola spektakularnego zamanifestowania przywiązania do bohaterów i wydarzeń sprzed wielu dekad. To spełnienie pięknej frazy z jednej z najpiękniejszych powstańczych pieśni: „Poległym chwała, wolność żywym”. Całe dziesięciolecie oddawano chwałę poległym, ale bez radości, którą żywym daje wywalczona wolność. Teraz, obok oddawania chwały poległym – bo to cały czas ma miejsce – doszła duma z wolności. To jest ten moment, w którym można zrozumieć, dlaczego Powstania Warszawskie – mimo, że to wydarzenie ograniczone terytorialnie – staje się centralnym punktem polskiej tożsamości politycznej. „Nie złamię

wolnych żadna klęska” – tak zaczyna się cytowana piosenka. „Chcieliśmy być wolni i wolność sobie zawdzięczać” – wielokrotnie przywoływane słowa Delegata Rządu Na Kraj Jana Stanisława Jankowskiego znakomicie definiują istotę fenomenu pamięci o Powstaniu Warszawskim. Czyli wagi, jaką w polskiej kulturze odgrywają idee podmiotowości, samodzielności i godności.

Twórcy sejmowej uchwały słusznie zapisali, że bez determinacji ludności cywilnej Powstanie nie osiągnęłoby znanego nam wymiaru politycznego i historycznego. Umyka nam fakt, że dzięki temu Powstanie Warszawskie – obok antykomunistycznego powstania lat 1944-1956 – było najbardziej demokratycznym, egalitarnym i ludowym zrywem narodu polskiego. Nie zrozumie tego fenomenu osoba, która oddzielnie będzie patrzyła na wysiłek armii powstańczej i postawę ludności cywilnej. Takiej linii podziału nie da się przeprowadzić.

W ostatnich latach historycy, odpowiednie instytucje (przede wszystkim Muzeum Powstania Warszawskiego), oraz zaangażowani w upamiętnienie aktywiści coraz większą wagę poświęcili cywilnym uczestnikom PW44. To nadrabianie zaległości historycznych, ale nie z powodu jakiejś antynomii między militarną a cywilną stroną Powstania. Wynikło to z czterech zmarnowanych dekad PRL. Powstańcy, gdy mieli już jakąś możliwość działania, poświęcili gros swojej energii na głoszeniu prawdy o Powstaniu. O tym, że nie stali z bronią u nogi i że ich walka nie była bezmyślnym szaleństwem. Nie pomagało im opresyjne państwo, więc na ich barkach spoczęło godne upamiętnienie poległych kolegów. Jednocześnie w autorytarnym państwie przedstawiciele ludności cywilnej nie mieli możliwości samoorganizacji, która umożliwiłaby upamiętnienie tej strony Powstania. Zglajszachtowana „pamięć” uprawiana przez PRL odstręczała ludzi od



Bundesarchiv, Bild 146-2005-0040
Foto: Moschner | 1944 September - Oktober

uczestnictwa w niej. Choć jednocześnie świeczki do dziś zapalane przy ulicach warszawskiej Woli, w miejscach najstraszniejszych zbrodni, wskazują na żywą, osobiście przeżywaną pamięć.

Upamiętnieniu cywilnego „frontu” Powstania nie sprzyjała też atmosfera pierwszej dekady po 1989 r. „Wybierano” wówczas przyszłość, a historycy zajmujący się Powstaniem wprawdzie musieli skorzystać z okazji, jaką dało zniesienie cenzury i otwarcie archiwów. Po raz pierwszy mogli uczciwie opisać polityczną i dyplomatyczną stronę Powstania. To dlatego aż tak bardzo odwlekła się rzecz, która poza wszystkim jest moralnym obowiązkiem – czyli uczczenie zamordowanych i poległych cywilnych uczestników Powstania. Pod każdym względem – odpisania ich losu po godne upamiętnienie. Świadomość wagi jest coraz większa – dowodem na to są tegoroczne obchody 5 sierpnia, czyli

kolejnej rocznicy Rzezi Woli. Z roku na rok przybywa osób czczących ten dzień. Instalacja przygotowana przez Muzeum Powstania Warszawskiego, czyli wypisanie danych osobowych 60 tys. zidentyfikowanych cywilnych ofiar Powstania, wywarło ogromne wrażenie. Jest dowodem na to, że powinna być spełniona zapowiedź władz miasta, iż wreszcie stanie mur z wypisanymi danymi poległych i zamordowanych warszawiaków.

Celem zbrodniarzy oprócz fizycznego unicestwienia przedstawicieli buntowniczego narodu było też zatarcie pamięci o zamordowanych. Dlatego w sierpniu 1944 r. Niemcy kazali palić dokumenty swych ofiar. Z tego powodu tak ważnym zadaniem jest pamięć nie o cyfrach - liczbach zamordowanych współrodaków, ale oddanie im tożsamości. Chodzi o odtworzenie tego, kto kiedy i w jakich okolicznościach został

zamordowany. Nie ogranicza się to tylko do Warszawy lat wojny. To też kwestia pamięci o ofiarach pacyfikacji wsi polskich, Rzezi Wołyńskiej, deportowanych z Kresów Wschodnich.

Trauma II wojny światowej trwa, a milczenie i zaniechanie nie są lekarstwem na nią.

Piotr Gursztyn

Piotr Gursztyn (ur. w 1970) – dziennikarz, publicysta, z wykształcenia historyk. Pracował w dzienniku „Życie Warszawy”, „Życie”, tygodniku „Nowe Państwo”, „Słowie-Dzienniku Katolickim”, Radiu Plus, Telewizji Puls, TV4, Polsat, „Dzienniku-Polska-Europa-Świat”, dzienniku „Rzeczpospolita”, tygodniku „Uważam Rze”. Obecnie jest dziennikarzem i publicystą tygodnika „Do Rzeczy”. Współpracuje z Polskim Radiem RDC i telewizją „Superstacja”. Autor książek m.in. „Rzeź woli. Zbrodnia nierozliczona” (2014).

Zdjęcie w tle: Ofiary nalotu. Ruiny restauracji „Adria” przy ul. Moniuszki 10, fot. Eugeniusz Lokajski, domena publiczna, [Wikipedia](#).

Creative Commons Uznanie autorstwa 3.0 Polska. Pewne prawa zastrzeżone na rzecz Muzeum Historii Polski



Tomasz Bonek
Marta Ringart-Orłowska

LUBIAŹ


Klasztor mrocznych tajemnic

**Zagadki i sekrety z burzliwych
dziejów największego opactwa w Polsce**



 
HISTORIA

Tel. 61 868 25 37, handlowy@replika.eu


www.replika.eu

Obsadzenie Kremla przez załogę polską



Rozmowa z prof. Anną Filipczak-Kocur

Jakie były okoliczności znalezienia się Polaków w Moskwie? W jaki sposób opanowali oni Kreml w 1610 roku?

Już od 1604 roku różne oddziały,

werbowane przeważnie przez polskich możnowładców, pomagały Dymitrowi Samozwańcowi pierwszemu, a potem drugiemu w zdobyciu korony i utrzymaniu tronu. Były to jednak inicjatywy prywatne, chociaż po cichu popierane przez Zygmunta III w perspektywie realizacji jego politycznego celu: przymierza z władcą moskiewskim dla odzyskania

królestwa szwedzkiego. W 1609 roku król oficjalnie, chociaż bez zgody sejmu, wyprawą na Smoleńsk, utracony w roku 1514, rozpoczął wojnę z Moskwą. W czerwcu 1610 hetman Stanisław Żółkiewski z częścią wojska został spod obleganej twierdzy wysłany przeciwko armii Dymitra Szujskiego, podążającej na odsiecz Smoleńskowi. Żółkiewski odniósł nad nią zwycięstwo pod Kłuszynem i wyruszył do Moskwy.

Car Wasyl Szujski zawarł jeszcze 10 marca wieczysty pokój z królem szwedzkim Karolem IX. Uznał w nim prawa Szwedów do Inflant, a sam zgłosił pretensje do terytoriów, które od pokoju w Jamie Zapolskim z 1582 roku należały do Wielkiego Księstwa Litewskiego. Tytułował się carem połockim. Karol i Wasyl zobowiązali się ponadto do prowadzenia wspólnej polityki wobec Zygmunta III i jego potomków, a Szwedzi obiecali carowi pomoc zbrojną.

Wydarzenia na terenie państwa moskiewskiego w okresie wielkiej smuty - bo tak nazwano te czasy - toczyły się niezwykle szybko. Bojarzy obalili cara Wasyla Szujskiego, a koronę zaproponowali Władysławowi, synowi Zygmunta. Hetman Żółkiewski przyjął tę propozycję. Wprowadzono polską załogę do stolicy carów na prawach sojusznika. Decyzję hetmana zaakceptowały przebywające w obozie pod Tuszynem w służbie drugiego samozwańca oddziały polskie pod dowództwem Zygmunta Kazanowskiego i Samuela Zborowskiego. Dołączyło do nich kilkuset ludzi z rozbitej pod Kłuszynem armii Szujskiego. Dowództwo nad nimi objął Aleksander Korwin Gosiewski.

Jaka wyglądała sytuacja załogi polskiej oraz mieszkańców Moskwy w ciągu następnych dwóch lat, czyli do 26 października (6 listopada) 1612 roku?

W nocy 20/21 września 1610 roku

oddziały Żółkiewskiego weszły do Moskwy i przebywały tam w różnej liczebności do 26 października 1612 roku nowego stylu. Zajął Kreml oraz dwie dzielnice: Kitajgorod i Biełgorad. Hetman Żółkiewski 8 października wkroczył osobiście na Kreml, gdzie oczekiwała go дума bojarska. Był tam też Michał Romanow, później - w 1613 roku - wybrany na cara, i patriarcha Hermogenes. Po złożeniu przysięgi przez przedstawicieli wszystkich stanów wydano bankiet z udziałem Żółkiewskiego oraz oficerów. Aleksander Korwin Gosiewski objął urząd starosty moskiewskiego i stanął na czele strieleckiego prikaza, czyli najwyższego urzędu wojskowego. Faktycznie Rosja przestała wówczas istnieć jako suwerenne państwo.

Polityka Gosiewskiego nie podobała się wszystkim bojarom. Byli wśród nich nie tylko zwolennicy Władysława, ale i drugiego samozwańca oraz cara Szujskiego. Gosiewski odsuwał od władzy bojarów porozumiewających się z samozwańcem lub tylko o to podejrzanych. Rozdawał majątki ziemskie stronnikom Polaków, chociaż tylko na papierze. Moskwa stała w obliczu zamieszek zbrojnych. Patriarcha Hermogenes, 78-letni starzec, wzywał do buntu przeciw Władysławowi. Mieszkańcy Moskwy wyrażali wrogość wobec wojsk polskich. Nie chciano im sprzedawać żywności, mnożyły się incydenty zbrojne. Z tego powodu Gosiewski zdecydował się na odebranie broni ludności cywilnej, nakazał kontrolowanie domów, karczem.

Stanisław Żółkiewski opuścił Moskwę, udając się do króla pod Smoleńsk. Przybył tam 9 listopada. Kiedy do Moskwy dotarła wiadomość, że król nie akceptuje układów Żółkiewskiego z bojarami i sam chce zostać carem, wrogie nastroje wobec Polaków przybrały na sile. Do tej pory załoga polska przebywała na Kremlu legalnie dla obrony rządu bojarskiego. Zaczęto kolportować antypolskie pisma.

Cerkiew, jako jedyna siła moralna i polityczna w powszechnym chaosie, wzywała do walki przeciw polskim najeźdźcom i rosyjskim zdrajcom. Mimo to Władysław miał ciągle zwolenników.

W czasie pobytu hetmana Żółkiewskiego w Moskwie załoga polska, licząca około trzech tysięcy ludzi, zachowywała się przyzwoicie. Nie było plądrowania, gwałtów ani wyrządzania innych krzywd ludności miejscowej. Straże patrolowały ulice i pilnowały porządku. Dopiero po wyjeździe hetmana zaczęły się działania dalekie od poprawności. Prześladowano mieszkańców stolicy, grabiono pałace i cerkwie, nakładano kontrybucje, dopuszczano się świętokradztwa. Sięgano do zasobów skarbcza kremłowskiego, wcześniej już mocno zubożonego przez Wasylą Szujskiego. Potęgowało to nienawiść do Polaków i Litwinów. Jednak Gosiewski nie był w stanie opanować rozprężenia w swoich oddziałach, chociaż z całą surowością karał wszelkie ekscesy. W Moskwie zaczęło brakować żywności. Stolica stanęła przed widmem głodu.

Już na początku marca 1611 Gosiewski wzmocnił Kreml zapasami prochu strzelniczego, wytoczył armaty na mury kremłowskie i Kitajgorodu. W końcu marca i na początku kwietnia spalili przedmieścia, aby zgnieść bunt i oczyścić drogę dla odsieczy nadciągającej od strony Możajska. Spaliły się wówczas również zapasy żywności. Pomoc Jana Karola Chodkiewicza była spóźniona i zakończyła się niepowodzeniem. Miał on za mało wojska i pieniędzy na jego opłacenie. Zarządził odwrót.

Sytuacja załogi polskiej, zredukowanej do 1300 ludzi, stawała się coraz trudniejsza. Odeszli skonfederowani żołnierze z pułku Jana Piotra Sapiehy, łączność z Chodkiewiczem została zerwana. Głód zmuszał załogę do jedzenia koni, psów, kotów, myszy, szczurów, świec, gotowania rzemieni, a także pergaminowych

rękopisów z carskiej biblioteki. Zdarzały się nawet przypadki kanibalizmu. Do stolicy zbliżało się od Niżniego Nowogrodu pospolite ruszenie dowodzone przez kniazia Dymitra Pożarskiego i Kuźnię Zachariewicza Minina Suchorukowa.

22 października rozpoczęto pertraktacje. Warunki traktatu przewidywały bezwarunkową kapitulację, opuszczenie Kremla przez załogę z zachowaniem honorów wojskowych. Oblężonym zagwarantowano bezpieczeństwo i powrót do kraju. Kreml poddał się 26 października (6 listopada) 1612 roku. Następnego dnia otwarto bramy. Po dziewiętnastu miesiącach oblężenia stolica carów była znów wolna. Sukces ten uznano za "cud nad Moskwą". Strona moskiewska nie dotrzymała warunków kapitulacji. Wielu Polaków zamordowano, innych wsadzono do więzienia. Pijani zwycięzcy palili i grabili skarby kremłowskie, odzierali trupy z rzeczy wartościowych. Zemsta zwycięzców dotknęła także tych, którzy sprzyjali Władysławowi i Polakom. Straty polskie były wielkie. Umierali po drodze z głodu, ginęli z rąk partyzantów.

W jaki sposób można zbilansować polsko-rosyjskie zmagania? Jakie były ich skutki dla obu stron?

Wielka smuta rozpoczęła się po śmierci Iwana IV i zostały bezpośrednio spowodowane kryzysem dynastycznym, czyli brakiem następcy na tron carski. Pogrzyżyły one to wielkie państwo w chaosie na kilkanaście lat. Chaos ten umożliwił ingerencję polską w sprawy państwa moskiewskiego. Była ona jego skutkiem, a nie przyczyną. Smuta wykreowała trzy stronnictwa: propolskie, proszwedzkie i "narodowe". Była to walka elit politycznych. W nowszej historiografii dostrzega się w tych wydarzeniach walkę między władzą carską a arystokracją rodową. Wybór Michała Romanowa na

car w 1613 roku stał się początkiem nowego państwa. Ruś moskiewska przekształciła się w jednolite państwo rządzone przez cara i dumę. Jak pisze Andrzej Andrusiewicz w *Dziejach wielkiej smuty*, Polacy, Litwini i Szwedzi przyczynili się do przewyciężenia przez Rosjan smutnych czasów i ich następstw, niezamierzenie dając impuls do integracji społeczeństwa oraz konsolidacji sił politycznych wewnątrzrosyjskich, tym samym przyspieszając wybór. Interwencja polska uaktywniła walkę narodowowyzwoleńczą i przyczyniła się do zintegrowania społeczeństwa. Długoletnie walki spowodowały zniszczenie kraju, a przede wszystkim Moskwy, regres demograficzny, zniszczenia gospodarcze. Sytuację pogarszały klęski żywiołowe, które stały się jedną z przyczyn głodu i chorób. Nie doszło jednak do załamania się handlu zagranicznego. Skarb państwa uległ osłabieniu, ale nie unicestwieniu. Przez cały czas wielkiej smuty znajdował się on w rękach władzy państwowej.

Kiedy doszło już do rozmów na temat unii, król polski sądził, że dla bojarów atrakcyjne są formy ustrojowe Rzeczypospolitej oraz przywileje szlacheckie, takie jak wolność osobista, zapewnienie bojarom nietykalności osobistej, czyli *neminem captivabimus*, prawo do studiowania za granicą. Kiedy Zygmunt III rozpoczął marsz na wschód, nie miał żadnych planów misyjnych. Strona rosyjska widziała w tym

jednak zagrożenie dla prawosławia. Król nie wziął pod uwagę konserwatyizmu bojarów - kierował się dążeniami elit, ich tęsknotą za polskimi wolnościami i stylem życia.

Nie można winić Zygmunta III za to, że nie wysłał nieletniego Władysława do pogrążonego w anarchii państwa. Tam trzeba było doświadczonego władcy - króla ojca. Nie mógł ryzykować życia syna. Hetman Żółkiewski pod carowym Zajmiszczem i pod Moskwą poszedł na ustępstwa wobec bojarów, pokrzyżowawszy plany króla. Wycofać się nie mógł i nie mógł dotrzymać układu z 27 sierpnia 1610 roku. To podsyciło nastroje antypolskie i przekreśliło szanse na związanie w jakiś sposób tego państwa z Rzeczpospolitą. W 1610 roku król zgodził się na objęcie tronu przez Władysława, ale po pewnym czasie rządów ojca. Nie wyraził natomiast zgody na jego przejście na prawosławie - nie mógł tego zrobić jako głęboko wierzący katolik. Unia personalna obu państw była nierealna. Nie do wyobrażenia było, aby car chodził do kościoła katolickiego, a jego poddani do cerkwi. Unia musi wypływać ze wspólnych interesów, a nie z przewagi wojskowej.

Rzeczypospolitej pozostały po zejściu załogi polskiej z Kremla wielomilionowe należności do spłacenia czterem konfederacjom wojskowym. Zapłaciła też zniszczeniem terytoriów, przez które przechodziło wojsko.

Prof. **Anna Filipczak-Kocur** - historyk, pracownik Instytutu Historii Uniwersytetu Opolskiego, zajmuje się m.in. funkcjonowaniem centralnych instytucji Rzeczypospolitej w epoce nowożytnej.

K. G

Ilustracja: plan Moskwy z 1610 r., Wikimedia Commons, domena publiczna.

Creative Commons Uznanie autorstwa 3.0 Polska. Pewne prawa zastrzeżone na rzecz Muzeum Historii Polski

Pokojowa Nagroda Nobla dla Lecha Wałęsy

Norweski Komitet Noblowski przyznał 5 października 1983 roku Pokojową Nagrodę Nobla Lechowi Wałęsie, przewodniczącemu "Solidarności". W swoim uzasadnieniu stwierdził m.in., że prowadzone przez niego "starania o zapewnienie robotnikom prawa do zakładania własnych organizacji są ważnym wkładem do kampanii na rzecz uniwersalnych praw ludzkich". Uznano również, że jego działania prowadzone były w przekonaniu, iż "wszystkie problemy należy rozwiązywać bez odwoływania się do przemocy".



Tego samego dnia Tymczasowa Komisja Koordynacyjna "Solidarności" wydała oświadczenie, w którym stwierdziła, że "dla społeczeństwa polskiego decyzja Parlamentu Norweskiego jest

potwierdzeniem słuszności obranej w sierpniu 1980 i kontynuowanej po 13 grudnia 1981 drogi i metod walki o prawo do prawdy i wolności, prawo do swobodnego zrzeszania się. Te

podstawowe wartości są bowiem nieodłącznym składnikiem pokoju".

W liście gratulacyjnym do Lecha Wałęsy, Jana Pawła II również wyraził zadowolenie z decyzji Komitetu Noblowskiego. Stwierdził w nim, iż "szczególnej wymowy nabiera fakt, że została w ten sposób nagrodzona wola i wysiłki podejmowane z myślą o rozwiązaniu trudnych spraw świata robotniczego i społeczeństwa w Polsce, na pokojowej drodze szczerego dialogu i wzajemnej współpracy wszystkich".

Wiadomość o przyznaniu Nagrody Lechowi Wałęsie z niechęcią przyjęły jednak władze PRL. Rzecznik prasowy ówczesnego rządu Jerzy Urban stwierdził, że jest to "zapłata dla ludzi, którzy działają na szkodę kraju" oraz "kolejna reaganowska złośliwość, tym razem firmowana z Oslo". W związku z tym, 11 października 1983 roku władze PRL wysłały do rządu Norwegii oficjalny protest. Był to drugi taki przypadek w historii. Wcześniej na taki protest zdecydował się jedynie przywódca III Rzeszy Adolf Hitler, gdy w 1935 roku Pokojową Nagrodę Nobla otrzymał więziony w obozie koncentracyjnym niemiecki pisarz i pacyfista Carl von Ossietzky za serię artykułów ukazujących naruszenia przez Niemcy traktatu wersalskiego, który zakończył się I wojną światową.

W obawie przed brakiem możliwości powrotu do kraju Wałęsa nie zdecydował się na wyjazd do Norwegii. W jego imieniu 10 grudnia 1983 roku w Oslo Nagrodę odebrała żona Danuta wraz z synem Bogdanem.

Lech Wałęsa jest jedynym Polakiem wyróżnionym Pokojową Nagrodą Nobla.

Nagroda Nobla to najważniejsze wyróżnienie przyznawane za wybitne osiągnięcia naukowe, literackie oraz

zasługi dla społeczeństw i całej ludzkości. Pokojowa Nagroda Nobla jest przyznawana za starania na rzecz pokoju na świecie od 1901 roku.

Fundatorem nagrody jest zmarły w 1896 roku wynalazca dynamitu - Alfred Nobel. W swoim testamencie powierzył norweskiemu parlamentowi (tzw. Storting) coroczny wybór maksymalnie trzech osób lub organizacji za ich zasługi dla ludzkości. Zwycięzca lub zwycięzcy powinni uczynić "największe wysiłki na rzecz braterstwa między państwami, likwidacji lub rozbrojenia armii, a także organizowania lub prowadzenia konferencji pokojowych". Nagroda, którą jest medal, dyplom i czek na 10 milionów koron szwedzkich (równowartość ok. 1,1 mln euro), jest wręczana corocznie 10 grudnia w Oslo.

Do tej pory przyznano 93 wyróżnienia. Wśród laureatów znaleźli się m.in. politycy: prezydent USA Theodore Roosevelt, za przygotowanie traktatu pokojowego w wojnie rosyjsko-japońskiej (1906), Martin Luther King, Jr., pastor i działacz na rzecz praw obywatelskich i równouprawnienia bez względu na kolor skóry (1964), Matka Teresa z Kalkuty (1979), Dalajlama XIV (1989) oraz organizacje: UNICEF (1965), Międzynarodowa Organizacja Pracy (1969) czy Unia Europejska (2012).

W historii zdarzały się również momenty, w których przyznawanie Pokojowej Nagrody Nobla budziło wiele kontrowersji. Przykładowo, w 2009 roku Komitet Noblowski przyznał wyróżnienie prezydentowi USA Barackowi Obamie za "nadzwyczajne wysiłki na rzecz wzmocnienia międzynarodowej dyplomacji i współpracy między narodami". Sprawa wydaje się o tyle niepokojąca, że jego nominacja została ogłoszona zaledwie 12 dni po objęciu przez niego urzędu. Innym przykładem jest przyznanie Nagrody Cordellowi Hull w

1945 roku za znaczącą rolę w tworzeniu Organizacji Narodów Zjednoczonych. Komitet zapomniał jednak, że sześć lat wcześniej, kiedy był on sekretarzem prezydenta Roosevelta dopuścił się rzeczy karygodnej. Namówił bowiem głowę państwa, aby ten nie wpuścił na teren USA

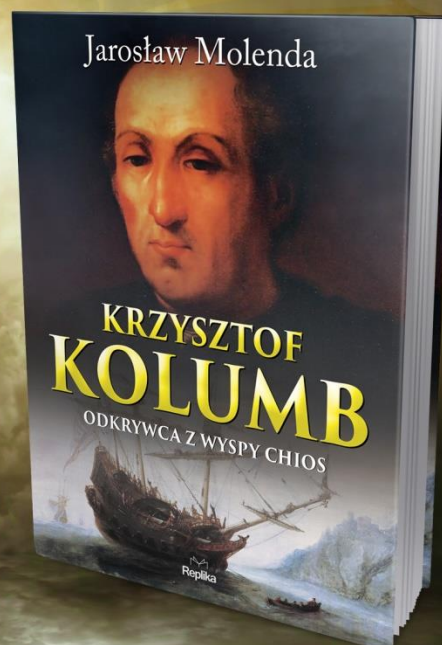
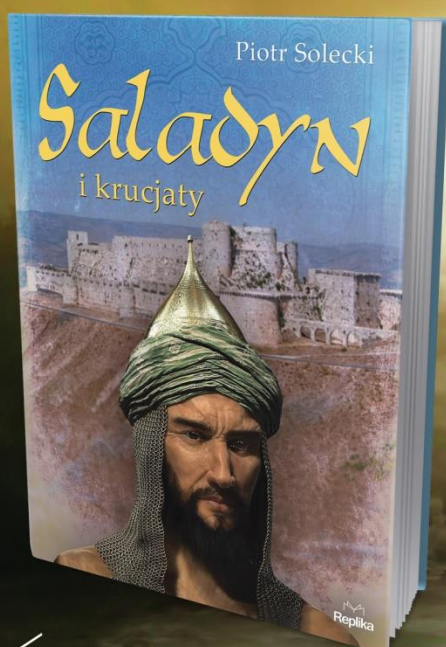
950 żydowskich uchodźców, starających się o azyl. Ponad jedna czwarta pasażerów statku, który wrócił do Hamburga zginęła podczas Holokaustu.

WP

Fotografia: kadr z wyprodukowanego przez Muzeum Historii Polski filmu dokumentalnego poświęconego nagrodzie Nobla dla Lecha Wałęsy pt. "Zakazane słowo: Norwegia".

Creative Commons Uznanie autorstwa 3.0 Polska. Pewne prawa zastrzeżone na rzecz Muzeum Historii Polski

LUDZIE, KTÓRZY ZMIENILI OBRAZ ŚWIATA



Tel. 61 868 25 37, handlowy@replika.eu



Śmierć hetmana Żółkiewskiego



Na przełomie XVI i XVII wieku tereny dzisiejszej Rumunii, czyli Mołdawia, Wołoszczyzna i Siedmiogród były obiektami półoficjalnej ekspansji polskich magnatów. Zawieranie małżeństw i wyprawy w celu osadzania na tamtejszych tronach przychylnych sobie kandydatów były na porządku dziennym. Księstwa te były lennikami Turcji i oczywiście polskie interwencje nie sprzyjały utrzymaniu przyjaznych stosunków. Mimo wszystko do roku 1620 udawało się utrzymać stan pokoju między Turcją a Rzeczypospolitą.

W tym roku jednak młody sułtan turecki, Osman II, stwierdził, że nie może już dłużej tolerować mieszania się Rzeczypospolitej w sprawy jego lenników. Czarę goryczy przechylił tu najazd polskich lisowczyków na Siedmiogród (przysługa uczyniona Habsburgom, których księżę Siedmiogrodu oblegał w Wiedniu). Z drugiej strony, król polski Zygmunt III czuł się silny po interwencjach w Moskwie (z przejściowym zajęciem Krymu). Postanowił wysłać

armię polską do Mołdawii w celu wsparcia hospodara Kacpra Grazzianiego - przychylnego Rzeczypospolitej - i odparcia Turków poprzez wydanie im bitwy na ich własnym terytorium.

We wrześniu 1620 roku siły polskie dotarły do Mołdawii. Tam w zakolu rzeki Prut założono obóz warowny i oczekiwano na liczniejszą armię turecką. Ówczesnie uważano, że najlepszym sposobem walki z Tatarami i Turkami jest obrona na ufortyfikowanym terenie lub bitwa z wykorzystaniem taboru wozów. Istotnie - armie tureckie były zazwyczaj dość liczne, a tereny Mołdawii dzieliło od Stambułu wiele kilometrów. Stąd Turcy dążyli zazwyczaj do szybkiego rozstrzygnięcia starcia, decydując się na atak nawet w niesprzyjających warunkach.

Hetman Żółkiewski się nie mylił. Armia turecka była liczebnie znacznie silniejsza od Polaków - liczyła prawdopodobnie ponad 20 tys. żołnierzy wobec 8-10 tys. Polaków, Kozaków i lokalnych sił księstwa Mołdawi. Żółkiewski postanowił stoczyć bitwę w szyku taborowym. Na obydwu skrzydłach armii miały posuwać się wozy spięte ze sobą łańcuchami i obsadzone piechotą oraz lekkimi działami. Była to zaporą w teorii nie do zdobycia dla armii tureckiej złożonej w większości z kawalerii. Pomiedzy łańcuchami wozów miała natomiast operować świetna polska jazda z dużym kontyngentem husarii. W ten sposób Turcy nie mogli wykorzystać przewagi liczebnej.

Podczas bitwy (19 września) nie wszystko poszło jednak zgodnie z planem. Wozy na lewym skrzydle w pewnym momencie się zatrzymały i odsłoniły skrzydło kawalerii. Turecki dowódca Iskander Pasza natychmiast wykorzystał tę okazję. W szeregi polskie wkradł się chaos i jazda uciekła do obozu, zaś wozy po części utknęły w zatorze i część z nich utracono. Tym niemniej Polacy utrzymali się w obozie. Około tydzień trwało oblężenie obozu, po czym hetman Żółkiewski zdecydował o odwrócie w obliczu coraz liczniejszych dezercji. O dziwo siły polskie chroniąc się za sprytnie poustawianymi wozami zaczęły wymykać się Turkom. Odwrót do polskiej granicy trwał tydzień. Niestety z każdym dniem rosła pokusa wśród kawalerzystów, by porzucić powolne wozy i piechotę i konno uciekać w granice Rzeczypospolitej.

7 października nastąpił ogólny bunt i chaos. Żołnierze wyprzęgali konie z wozów i coraz liczniej dezercerowali. W tym momencie nastąpił atak Tatarów, którzy właśnie czekali na ten moment. W ogólnym zamieszaniu zginął hetman Żółkiewski, a większość pozostałych przy nim żołnierzy poległa lub dostała się do niewoli.

Ilustracja: Śmierć hetmana Stanisława Żółkiewskiego pod Cecorą, obraz Walerego Eljasza Radzikowskiego, Wikimedia Commons, domena publiczna.

Creative Commons Uznanie autorstwa 3.0 Polska. Pewne prawa zastrzeżone na rzecz Muzeum Historii Polski

niż "państwo litewskie".

Uważam, że koronacja Mendoga była posunięciem doraźnym - reakcją na konkretną sytuację polityczną. Chodziło o to, aby rozbić koalicję zawiązaną przeciw niemu wokół Zakonu Inflanckiego. Mendog wyraził chęć przyjęcia chrztu. Przyjął ten sakrament, a następnie, uzyskawszy zgodę papieża, koronował się na króla.

Moim zdaniem był to doniosły krok: pierwszy przejaw politycznej woli wejścia do cywilizacji zachodnioeuropejskiej. Jednak było na to jeszcze za wcześnie. Po ciężkiej porażce doznanej ze strony kawalerów mieczowych Zakonu Inflanckiego sojusz ten nie był już Mendogowi potrzebny, więc po prostu się z niego wycofał. Świadczyło to o tym, że państwo i jego elity polityczne nie dojrzały jeszcze do konieczności współpracy z Europą Zachodnią. Każdy kolejny książę litewski -

Witenes, Giedymin, Olgierd, Kiejstut - w momentach nasilania się wojny z Zakonem Krzyżackim deklarowali chęć przyjęcia chrztu w obrządku zachodnim. W ten sposób wytrącali z rąk Krzyżaków broń ideologiczną, którą był zamiar ochrzczenia pogan. Kiedy zaś problem został rozwiązany, wycofywali się ze swoich obietnic. Zobowiązanie to podjął w końcu Jagiełło - był to wybór strategiczno-cywilizacyjny.

Jaki był status polityczny Litwy w momencie zawiązywania się pierwszej unii personalnej z Polską w Krewie? Jak funkcjonowała jej patrymonialna struktura?

W roku 1386 Jagiełło zeni się z królową Polski - Jadwigą. Przedtem Wielkie Księstwo Litewskie było bardziej związane z tradycją państwowości staroruskiej, czyli ziem zachodnich Rusi - białoruskich i południowych - ukraińskich, dlatego

władcę tytułowano Wielkim Księciem, zgodnie z obyczajami panującymi w hierarchii feudalnej. Tradycja ta została zapoczątkowana w Kijowie, następnie objęła również inne miejscowości - na przykład Włodzimierz. Właśnie do tej tradycji nawiązywano później w oficjalnym tytułowaniu wielkich książąt litewskich. Natomiast kiedy Jagiełło ujawnił wolę wejścia do kręgu cywilizacyjnego Europy Zachodniej, trzeba było wejść do hierarchii europejskiej. W związku z tym już za czasów Witolda rozpoczęły się starania o podniesienie Wielkiego Księstwa Litewskiego do rangi królestwa.

Jak szlachta odbierała sytuację polityczną po ślubie Jagielly?

U nas szlachtę nazywano bojarami. Jest to nazwa słowiańska - białoruska. Najbliżej były położone właśnie ziemie białoruskie, których rycerstwo było nastawione negatywnie wobec perspektywy wcielenia do Korony. Najważniejsze jest to, że ściślejszemu związkowi z Polską sprzeciwiło się bojarstwo, któremu przewodził Witold. To za ich sprawą doszło do uniezależnienia się Wielkiego Księstwa Litewskiego, co spowodowało, że po zawarciu unii krewskiej pozostało ono całkowicie samodzielnym państwem. Chociaż dochodziło na przykład do aktów przysięgi wasalnej wobec króla polskiego i ze strony Witolda, i ze strony możnych, państwo pozostało suwerenne i prowadziło własną politykę zagraniczną, często niezgodną z polityką polską.

Czy w tym kontekście unia horodelska okazała się momentem przełomowym?

Tak było w istocie. Na Białorusi obecnie unia horodelska - w odróżnieniu od unii krewskiej - oceniana jest negatywnie, ponieważ dawała przywileje katolikom, właśnie bojarstwu, które przyjęło herby polskie i zostało szlachtą. Dotyczyło to głównie przedstawicieli rodów

pochodzenia litewskiego, które przyjęły chrzest katolicki. Cytując pewną syntezę: "to był ładunek wybuchowy podłożony pod jedność katolickiej i prawosławnej części Wielkiego Księstwa Litewskiego".

Kontakt Polski i Litwy musiał siłą rzeczy mieć wpływ na kształtowanie się ustroju państwowego Wielkiego Księstwa Litewskiego. Jak w krótkich słowach można scharakteryzować ten proces i

jakie były jego główne kierunki?

Wzory polskie w szczególności sposób ujawniły się w wieku XV w ustroju administracyjnym państwa. Przykładem może być utworzenie województw w Wielkim Księstwie Litewskim, jak też powołanie urzędów takich jak kasztelan czy wojewoda. Z całą pewnością możemy mówić, że wpływy polskie od wieku XV były coraz silniejsze.

Prof. **Aleksander Krawcewicz** - historyk, przewodniczący Niezależnego Stowarzyszenia Historyków Białoruskich, wykładowca w Wyższej Szkole Ekonomicznej w Białymstoku, autor m.in. książki *Powstanie Wielkiego Księstwa Litewskiego* (2003).

Ilustracja: dokument "Manifestacji Jedności Rzeczypospolitej Obojga Narodów" uchwalony podczas obchodów rocznicy unii w 1861 r, [Polona](#), CC-BY-NC.

Creative Commons Uznanie autorstwa 3.0 Polska. Pewne prawa zastrzeżone na rzecz Muzeum Historii Polski



Wodowanie ORP „Błyskawica” w Wielkiej Brytanii



Z dr. **Maciejem Franzem**
rozmawia Wojciech Kozłowski

Skąd się wzięła polska flota wojenna po I wojnie światowej?

Pojawienie się floty wojennej po I wojnie światowej było procesem naturalnym.

Polska miała flotę wojenną w okresie I Rzeczypospolitej, odrodzenie państwa stało się więc automatycznie impulsem do odrodzenia się floty. Początek flocie wojennej dał słynny dekret Naczelnika Państwa nr 155 z listopada 1918 roku. Jej podstawą były niewielkie okręty - torpedowce przejęte po likwidowanej pełnomorskiej flocie niemieckiej. Później

powstawały plany budowy kolejnych jednostek. Flota tworzona była właściwie od zera, dopiero wraz z przejęciem skrawka wybrzeża przyszły marzenia o stworzeniu floty z prawdziwego zdarzenia.

Czy przyjęto konkretną strategię budowy floty? Czy były na to środki? W czasach I Rzeczypospolitej nie słynęliśmy z podbojów morskich, a flota tworzona była dopiero w XVII wieku na potrzeby zmagania ze Szwecją. Nie mieliśmy zatem wielkich tradycji morskich.

Flota siedemnastowieczna, a także wcześniejsza, kaperska, z czasów Kazimierza Jagiellończyka czy później Zygmunta Augusta, były powoływane do wykonania konkretnych zadań. Nigdy nie było związanych z nimi planów strategicznych. Pod tym względem II Rzeczpospolita jest bardzo podobna - nigdy nie było całościowego programu rozwoju floty. Jeśli powstawały plany, to zupełnie nierealne, na przykład budowy krążowników czy nawet większych okrętów na Bałtyku, i nigdy nie odzwierciedlały nie tylko możliwości finansowych państwa, ale także jego potrzeb.

W praktyce plany rozbudowy floty dostosowywano do posiadanych zasobów. Nigdy nie rezerwowano środków na budowę okrętów - po prostu nieraz udawało się przepchnąć jakieś zamówienie, choćby na "Wichra", "Burzę", "Błyskawicę", "Grom" czy okręty podwodne. Dopiero później pojawiła się koncepcja współfinansowania projektów przez składki społeczne na specjalnie do tego celu powołany fundusz. Brak strategii sprawił jednak, że skład floty polskiej we wrześniu 1939 roku był tak przypadkowy.

Czy pieniądze, których przecież było tak niewiele, były wydawane rozsądnie?

To zawsze pozostaje w sferze ocen. W Wielkiej Brytanii w 1939 roku zaczęto, ale

nigdy nie ukończono, budowę ścigaczy torpedowych, których miało być przeszło trzydzieści. Budowa dwóch pierwszych ścigaczy kosztowała jednak mniej niż 1/3 wydatków na konstrukcję "Błyskawicy" czy "Gromu".

A właśnie ocena przydatności tak dużych jednostek w obronie Wybrzeża w 1939 roku jest kwestią sporną. Z jednej strony istniała bowiem potrzeba organizacji floty obronnej, z drugiej zamysłano stworzyć także flotę odstraszającą. Temu miały służyć duże jednostki, takie jak "Grom" i "Błyskawica". Niemieckie teorie, że były to krążowniki torpedowe, mile łechtały polską dumę narodową. Tworzyło to obraz potężnej floty dla skromnego jednak wybrzeża, któremu *de facto* bardziej przydałyby się stawiacze min czy też wspomniane ścigacze torpedowe.

Co możemy powiedzieć o wartości "Błyskawicy"?

Wraz z bliźniaczym ORP "Grom" były to przepiękne jednostki, jedne z piękniejszych okrętów tego okresu. Miały one pełnić rolę liderów floty - potężne niszczyciele o wyporności ponad 2000 ton, znakomicie uzbrojone, bardzo drogie, daleko wykraczające poza potrzeby Morza Bałtyckiego, w momencie wejścia do służby na pewno największe w swej klasie na tym akwenie.

O tym, że były to pod każdym względem dobre, okręty świadczy szlak bojowy "Błyskawicy", która była wielokrotnie przezbrajana. Zdolność okrętu do przystosowywania do różnych warunków była znakomitą cechą tej jednostki. Jeszcze w 1944 roku była ona równorzędna z potężnymi niszczycielami brytyjskimi. Także jej długoletnia służba powojenna świadczy o tym, że ten okręt został znakomicie zaprojektowany i zbudowany. Jeśli chcieliśmy mieć jednostki najwyższej klasy, to "Błyskawica" i "Grom" właśnie takie były.

Dla czego zwrócono się z tym zamówieniem właśnie do stoczni brytyjskiej?

Najpierw zwróciliśmy się do strony francuskiej, ale projekt przez nią przedstawiony nam nie odpowiadał. Okazało się też, że zbudowane wcześniej "Wicher" i "Burza" bardzo szybko się starzały. Już przed wojną istniały zresztą projekty modernizacji tych jednostek - upodobnienia ich do dużo nowocześniejszych "Błyskawicy" i "Gromu". Stąd też w 1933 roku, kiedy ogłaszano przetarg na budowę dwóch dalszych niszczycieli, kierownictwo Marynarki Wojennej, uzyskawszy nieodpowiadającą zapotrzebowaniom ofertę francuską, postanowiło wystąpić z ofertą do stoczni White'a, która ostatecznie zaprojektowała dla nas te dwa okręty. Są to od początku do końca projekty brytyjskie, stworzone specjalnie dla strony polskiej, oparte na doświadczeniach brytyjskich, choć całkowicie oryginalne i nigdy niepowielone.

Jakie były plany użycia floty polskiej u progu II wojny światowej?

Trzy najbardziej wartościowe jednostki ("Błyskawica", "Grom" i "Burza") odpłynęły do Wielkiej Brytanii w ramach operacji "Pekin" tuż przed wybuchem wojny. Do obrony wybrzeża pozostawiono jednostki, które uznano za konieczne.

Na wypadek wojny przygotowano plany operacji minowej "Rurka", w której główną rolę miał odegrać stawiacz min "Gryf" - największa polska jednostka we

wrześniu 1939 roku - oraz dywizjon minowców, a także operacji "Worek", czyli rozlokowania okrętów podwodnych *de facto* na wodach Zatoki Gdańskiej i w jej pobliżu. O ile plan minowy wydaje się zasadny i należy żałować, że nie został zrealizowany, o tyle plan działań okrętów podwodnych jest wyraźnie defensywny, a więc absolutnie nieodpowiadający klasie tych okrętów. W efekcie nie wykorzystano wszystkich możliwości, jakie te okręty dawały.

Kwstią, którą się często pomija, a która jest absolutnie zasadnicza, był brak możliwości zapewnienia okrętom swobody działania na polskim wybrzeżu. Podstawą byłoby uzyskanie panowania w powietrzu nad polskimi portami wojennymi, co przy braku lotnictwa morskiego było po prostu niemożliwe. Trwanie w portach musiało skończyć się tak, jak się skończyło, czyli wyłączeniem zasadniczych jednostek do 3 września. Pozostawały tylko jednostki minowe, które chroniły się w mniejszych portach.

We wrześniu 1939 roku przewaga niemiecka była ogromna, a dodatkowo brakowało chyba odwagi w prowadzeniu działań wojennych, zwłaszcza w odniesieniu do okrętów podwodnych, które były jednostkami nowoczesnymi i miały znakomicie wyszkolone załogi. Zasadniczym problemem jest zatem nieumiejętność wykorzystania polskiej floty wojennej, a plan odesłania okrętów, który budził tyle emocji, okazał się jak najbardziej zasadny - dzięki temu flota przetrwała i prowadziła później walkę do 1945 roku.

Dr **Maciej Franz** - historyk wojskowości, pracownik Instytutu Historii UAM, znawca dziejów wojen morskich XIX i XX wieku.

Ilustracja: okręt-muzeum ORP Błyskawica w basenie prezydenckim portu w Gdyni, Wikimedia Commons, domena publiczna.

Zamach na Cafe Club



Z dr. **Piotrem Gontarczykiem**
rozmawia Adam Tycner

*Jakie były początki Gwardii Ludowej?
Jakie stawiała sobie cele?*

W historiografii PRL z reguły przyjmowano, że Gwardia Ludowa powstała w początkach 1942 r., jednocześnie z Polską Partią Robotniczą, lub tuż po niej. W rzeczywistości genezy tej formacji należałoby chyba szukać w sierpniu 1941 r., kiedy Stalin kazał podległemu aparatowi państwa sowieckiego założyć w Polsce PPR. Partia ta miała pod fałszywym szyldem patriotycznym wywołać w Polsce zbrojne powstanie, które przerwałoby niemieckie linie komunikacyjne na front wschodni. Do tej zbrojnej "ruchawki" potrzebna była

komunistom wojskowa przybudówka partii - GL. Oficjalnie organizacja miała walczyć o Polskę, lecz była to mistyfikacja. W istocie chodziło o taktyczne interesy sowieckie.

*Jakie osiągnęła rozmiary? Jak wyglądał
jej struktura?*

Gwardia Ludowa była niezwykle słaba. W czasach PRL pisano - w zależności od autora i epoki - że liczyła 50 do 100 tysięcy ludzi. W rzeczywistości nie było to więcej niż 2-3 tysiące osób. Oficjalnie Gwardią Ludową kierował Sztab Główny, któremu podlegały Obwody i Okręgi - struktura terytorialna GL kopiowała więc obowiązującą przez wojnę w KPP. Struktury dowódcze Gwardii w terenie, o

ile w ogóle istniały, były bardzo słabe i z wojskiem miały niewiele wspólnego. Znaczną część czasu i ich inwencji pochłaniały konflikty wewnętrzne i porachunki.

Kto wstępował do GL?

Gwardię zakładali przede wszystkich ideowi działacze partyjni, jednak ze względu na ich niewielką liczbę nie mogła być to jedyna baza werbunkowa do komunistycznej konspiracji. Do GL trafiło też wielu młodych, zapalczywych lewicowych patriotów, jednak wydaje się, że stanowili oni raczej margines niż zasadniczy trzon formacji. W oddziałach partyzanckich GL znalazło się wielu ludzi, którzy z różnych powodów musieli pójść "do lasu": "spalonych", zbiegłych jeńców sowieckich, uciekinierów z gett. Bardzo silny, a w wielu oddziałach wręcz decydujący był element kryminalny. Wiele oddziałów GL stanowiły zwerbowane przez komunistów grupy rabunkowe, zarówno powstałe w czasie wojny, jak i składające się z przedwojennych jeszcze przestępców.

Najbardziej chyba znaną akcją Gwardii Ludowej jest zamach na przeznaczony tylko dla Niemców warszawski lokal Café Club. Atak ten ostro potępila AK. Dlaczego tak się stało i jak zamach oceniają dziś historycy?

Wspomniana akcja jest opisana w historiografii, a zasadnicze fakty się zgadzają - poza liczbą kilkudziesięciu zabitych Niemców, którą komuniści wyssali z palca. Operacja była typowym przykładem bezmyślnych działań GL, którymi komuniści usiłowali demonstrować swoją rzekomą siłę i zachęcić Polaków do aktywnych działań zbrojnych przeciwko Niemcom. Było to sprzeczne z podstawową strategią Polskiego Państwa Podziemnego, polegającą na przetrwaniu ("staniu z bronią u nogi") i doczekaniu sprzyjającej

koniunktury, przy której moglibyśmy odzyskać niepodległość. Przedwczesne wystąpienia zbrojne ze względu na dysproporcje sił nie mogły zakończyć się sukcesem i mogły tylko spowodować eskalację represji. Wielu poszlak wskazuje, że komuniści chcieli je wywołać celowo, żeby zradyzalizować postawę Polaków. Ze względu na niecelowość takich akcji i niemieckie represje wspomniany zamach dokonany przez komunistów został potępiony przez AK.

Jakie zasługi w walce z okupantem miała Gwardia Ludowa? Czy była to organizacja marginalna, czy też odegrała istotną rolę w walce z Niemcami?

Jak już powiedziałem, Gwardia Ludowa była organizacją absolutnie marginalną. Jej oddziały były bardzo słabo zdyscyplinowane, często funkcjonowały bez żadnego oparcia czy kierownictwa terenowych struktur komunistycznej konspiracji. Około 90% akcji bojowych GL opisanych w historiografii PRL, które udało mi się zweryfikować, okazało się literacką fikcją lub działaniami o marginalnym znaczeniu. Ta formacja nie była w stanie podjąć żadnej poważniejszej akcji antyniemieckiej.

Jak układały się stosunki między Gwardią Ludową a Armią Krajową, Narodowymi Siłami Zbrojnymi i innymi organizacjami podziemnymi?

Od początku były złe i z biegiem czasu tylko się pogarszały. Głównym punktem zapalnym był pospolity bandytyzm, uprawiany przez przytłaczającą większość komunistycznych oddziałów. GL-owcy napadali na bogatszych chłopów, plebanie, majątki ziemskie, rabując i mordując mieszkańców. A przecież dwory były zapleczem ekonomicznym podziemia. Komuniści dopuszczali się też licznych gwałtów i zabójstw na polskiej ludności i żołnierzach podziemia. To musiało wywoływać kontrakcję. Narodowcy

zwalczali komunistów planowo i systematycznie. Oddziały AK, choć obowiązywały w tej sprawie zakazy spowodowane sytuacją międzynarodową, także rozbijali oddziały GL, na ogół za konkretne przestępstwa kryminalne i działalność przeciwko polskiej ludności. Jeżeli chodzi o wynik tego rodzaju akcji, to sukcesy rozkładają się tu mniej więcej po równo.

Kim byli przywódcy Gwardii Ludowej i jak potoczyły się ich dalsze losy?

Wielu przywódców Gwardii a potem Armii Ludowej trafiło po wojnie do wojska, aparatu bezpieczeństwa i milicji. Mieli już doświadczenie w "zwalczaniu reakcji", znaczna część z nich była skomunizowana, zdemoralizowana, a więc pozbawiona zahamowań moralnych i gotowa brutalnymi metodami wprowadzać "nową władzę". Wielu wysokich funkcjonariuszy GL, takich jak Mieczysław Moczar czy Grzegorz Korczyński, trafiło na szczyty władzy. Zbrodnie, jakich wielu z nich się dopuściło, jak chociażby mordy na Żydach dokonane przez Korczyńskiego na

Lubelszczyźnie w latach 1942-1943, w wolnej Polsce zaprowadziłyby ich na szafot. Ale to oni stali się władcami i symbolami "ludowej Polski".

Jak opisywano historię Gwardii Ludowej w PRL, a jak opisuje się ją dziś?

Historiografia Gwardii Ludowej z czasów PRL nie ma nic wspólnego z badaniami naukowymi. Był to przede wszystkim element komunistycznej propagandy, który miał służyć legitymizacji władzy komunistów. Stworzono w niej - na papierze - struktury, które nigdy nie istniały, zapisano tysiące osób, niekiedy wielopokoleniowych rodzin, które z tą formacją nie miały wiele wspólnego. Liczebność GL, podobnie jak jej dorobek bojowy, przemnożono przez kilkadziesiąt. Dziś ta organizacja, niemająca nic wspólnego z niepodległościowymi aspiracjami Polaków, powoli trafia na właściwe jej miejsce w historii. Choć trzeba przyznać, że i dziś nie brakuje - na szczęście odosobnionych - przypadków powielania w tej kwestii wzorców komunistycznej propagandy.

Dr **Piotr Gontarczyk** - historyk i politolog, zastępca dyrektora Biura Udostępniania i Archiwizacji Dokumentów Instytutu Pamięi Narodowej. Współautor trzypięciotomowej publikacji *Tajne oblicze GL-AL, PPR. Dokumenty* (1997-1999). Opublikował również: *Pogrom? Zajścia polsko-żydowskie w Przytyku 9 marca 1936 r. Mity, fakty, dokumenty* (2000); *Polska Partia Robotnicza. Droga do władzy 1941-1944* (2003); *Tajny współpracownik »Święty«* (2005).

Fotografia: socrealistyczna mozaika na budynku w pobliżu miejsca ataku komunistycznej bojówki na Café Club, Wikimedia Commons, domena publiczna.

Creative Commons Uznanie autorstwa 3.0 Polska. Pewne prawa zastrzeżone na rzecz Muzeum Historii Polski

Norwegia mierzona w zachwytach, a nie w koronach



Fjord Line Polska ogłasza konkurs fotograficzny pod nazwą „Wspomnienia z wakacji w Norwegii”. Do wygrania niezapomniane wakacje w krainie fiordów: rejs dla czterech osób i dom wakacyjny, vouchery na prom i aparaty fotograficzne. Konkurs rozpoczyna się 20 września a kończy 30 listopada 2016 roku.

Na wakacje do Norwegii

Co roku fiordy norweskie znajdują się w pierwszej 10. najpiękniejszych miejsc na świecie (ranking National Geographic). Natura norweska przyprawia o zawrót głowy: góry sąsiadujące z morzem, wytapiające się lodowce, majestatyczne piękno fiordów, niezliczone wodospady, tysiące wysp, jezior polodowcowych – to widoki, które zapadają w pamięć. Co roku ta część Skandynawii przyciąga tysiące turystów spragnionych miejsc... bez turystów i obcowania z naturą. W Norwegii takie odosobnione miejsca znajdzie się z łatwością. Jednym ze sposobów na wygodne dotarcie na Półwysep Skandynawski jest promowa podróż morska, która ma taki dodatkowy walor, że można podróżować swoim samochodem już po samej

Norwegii. Taka forma podróży daje swobodę wyboru, oszczędza czas i środki. Ofertę przepraw promowych z duńskiego portu w Hirtshals ma Fjord Line – organizator konkursu i fundator nagrody głównej (voucher na rejs w wysokości 2000 zł) i dwóch voucherów po 1000 zł. Drugim fundatorem nagrody głównej jest NOVASOL domy wakacyjne, posiadający najbogatszą ofertę domów wypoczynkowych w Norwegii. Są to domy prywatnych właścicieli, w malowniczych lokalizacjach, odosobnionych miejscach, w których mamy pewność, że nikt nie zakłóci naszego wypoczynku. Do wygrania w konkursie voucher na dom w wysokości 3500 zł.

Vouchery będzie można zrealizować do końca 2017 roku.

Miłośników fotografii na pewno ucieszy też możliwość wygrania najmniejszego na świecie aparatu cyfrowego do zdjęć natychmiastowych, czyli Polaroid Snap, fundatorem nagrody jest dystrybutor marki w Polsce, System Bank. Łączna wartość nagród wynosi 10 tys. zł.

Co zrobić żeby wygrać?

Konkurs jest konkursem fotograficznym i tekstowym, żeby wygrać należy wysłać na adres: konkurs [at] fjordline.pl maksimum trzy zdjęcia z Norwegii uwieczniające niezapomniany moment, ulubione wspomnienie z tego kraju wraz z opisem co zdjęcie przedstawia. Szczegóły konkursu można znaleźć na stronie Fjord Line. Organizator czeka na zdjęcia w terminie od 20 września do 30 listopada 2016 roku.

 **WYSTAWA
NA EKRANIE**

MUNCH 150
z Munchmuseet i Nasjonalgalleriet
w Oslo

13.11.2016
| nd | **18.00**



Magia ochronna Słowian we wczesnym średniowieczu na ziemiach polskich

Magia ochronna towarzyszyła naszym przodkom w każdej dziedzinie życia, od narodzenia aż do śmierci. Świadczą o tym odkrywane przez archeologów amulety, kości i inne przedmioty, znajdowane w fundamentach domów, wałów czy na cmentarzach słowiańskich - przekonuje archeolog, dr Joanna Wawrzeniuk.

"Dawny, +magiczny sposób myślenia+ ma wiele wspólnego ze zjawiskiem określanym przez jako religijność typu ludowego. Mimo postępów chrystianizacji ślady dawnych wierzeń Słowian, wplecione zostały trwale w religijny cykl obrzędowy, które obecne były jeszcze do niedawna w społecznościach wiejskich, obecne są również w zjawisku określanym jako urok" - wyjaśnia w rozmowie z PAP dr Joanna Wawrzeniuk z Instytutu Archeologii Uniwersytetu Kardynała Stefana Wyszyńskiego w Warszawie, która przyjrzała się duchowości Słowian zamieszkujących obecnie tereny Polski od VII do XIII w.

Wszechobecny strach był głównym motorem działań o charakterze ochronnym – przekonuje badaczka. Stąd Słowianie powszechnie stosowali różnorodne zabiegi związane z magią ochronną, określaną jako apotropaizm.

"Zaskoczyło mnie to, że czynności apotropaiczne towarzyszyły Słowianom przez całe życie - od narodzin aż do śmierci przy każdej mniej lub bardziej ważnej uroczystości związanej z obrzędowością rodzinną i doroczną. Działania apotropeiczne stosowano również w codziennych czynnościach domowych i rzemieślniczych" - mówi dr Wawrzeniuk.



Przed różnymi formami zła chronić miały specjalnie przygotowane amulety, ale w zasadzie każdy przedmiot odpowiednio spreparowany i przygotowany mógł pełnić tę funkcję - zaznacza archeolog.

Amulety miały chronić ludzi. Natomiast w obrębie domostw, bądź pod nimi Słowianie składali ofiary zakładzinowe. "Były one wyrazem troski o przyszły dom i jego mieszkańców" - mówi archeolog.

Z dzisiejszego punktu widzenia ofiary te mogą jednak zaskakiwać. Przykładowo w Gdańsku pod podłogą domu mieszkalnego złożono szkielet niemowlęcia lub przedwcześnie urodzonego dziecka. W innych przypadkach archeolodzy odkrywali same czaszki ludzkie lub zwierzęce. Możliwości udobruchania złych demonów było sporo - wynika z badań dr Wawrzeniuk, bo czasem pod posadzką archeolodzy odkrywają naczynia, które - jak przypuszczają - pierwotnie wypełnione były pokarmem. Ten przeznaczony miał być dla demonów, tak by nie niepokoili mieszkańców chaty.

"Apotropaiczne skutki można było osiągnąć jedynie po wypowiedzeniu stosownych zaklęć przed odpowiednią osobą we właściwym czasie" - zaznacza dr Wawrzeniuk. Mogli być to kapłani, czarownicy lub wróże.

Po śmierci niebezpieczeństwo dla żywych stanowił zmarły i jego duch. Przed nim chroniono się składając ofiary na grobie w sposób cykliczny - dzięki temu zmarły nie miał powodu, by szkodzić krewnym. Badaczka zaznacza jednak, że śmierć zaczynała się wcześniej - jeszcze przed fizycznym zgonem. Z danych etnograficznych wynika, że wierzono w zwiastuny śmierci w postaci m.in. wycie psa z pyskiem skierowanym w dół czy niewytłumaczalne odgłosy w domu.

Początkowo Słowianie praktykowali ciałałpalenie. Z czasem odeszli od tego zwyczaju na rzecz inhumacji - do X do XI w. na terenie obecnej Polski, pod wpływem postępującej chrystianizacji, praktykowano oba rytuały.

Spopielonych zmarłych składano w kurhanach. "Konstrukcjom kamiennym i drewnianym przypisywano funkcję magiczną, ponieważ stanowiły +symboliczne zamknięcie grobu+, a tym samym odgradzały zmarłego od świata żywych, chroniły przed dostępem złych mocy, stanowiąc skuteczną do ich izolację" - przekonuje ekspertka. Z czasem, wraz z coraz większymi wpływami chrześcijaństwa zmarłych zaczęto składać na płaskich cmentarzach. Długo pozostał jednak zwyczaj obudowywania grobów, czy to drewnem czy kamieniami - w ten sposób chciano odizolować zmarłego od świata żywych, w obawie przed ich powrotem do świata żywych. W grobach - podobnie jak we wcześniejszych wiekach - wraz z zmarłym umieszczano amulety.

Przestrzeń to kolejna kategoria, którą Słowianie bardzo chcieli zrozumieć i okiełznać, czego dawali swój wyraz w działaniach magicznych. "Potwierdzeniem tego były stosowane we wczesnym średniowieczu ofiary pod wałami grodów. Podobne zabiegi stosowano też na skrzyżowaniach dróg, na granicy osady czy pól" - wylicza dr Wawrzeniuk.

Dr Joanna Wawrzeniuk przyjrzała się jednemu z aspektów myślenia magicznego korzystając z różnorodnych źródeł - danych płynących z wykopalisk, które zestawiała z treścią kronik i

kazań z epoki. Skorzystała też z opracowań etnograficznych z k. XIX i pocz. XX w. Swoje wnioski opublikowała w książce "Magia ochronna Słowian we wczesnym średniowieczu na ziemiach polskich", która ukazała się w tym roku nakładem wydawnictwa Uniwersytetu Kardynała Stefana Wyszyńskiego w Warszawie.

PAP - Nauka w Polsce

Serwis Nauka w Polsce - www.naukawpolsce.pap.pl.

mnk
MUZEUM
NARODOWE
W KRAKOWIE

**NO
KSIĄŻKI**
W MUZEUM
NARODOWYM
W KRAKOWIE



Swiatoobraz

27 października, godz. 20.30
PAŁAC BISKUPA ERAZMA CIOŁKA
UL. KANONICZA 17
CZYTAMY I DYSKUTUJEMY PRZEZ CAŁĄ NOC!

Prosimy o wcześniejszą rezerwację miejsc: rezerwacja@mnk.pl lub tel. 12 433 54 44

[FACEBOOK.COM/NOCKSIAZKIKRAKOW](https://www.facebook.com/NOCKSIAZKIKRAKOW)

ORGANIZATOR:



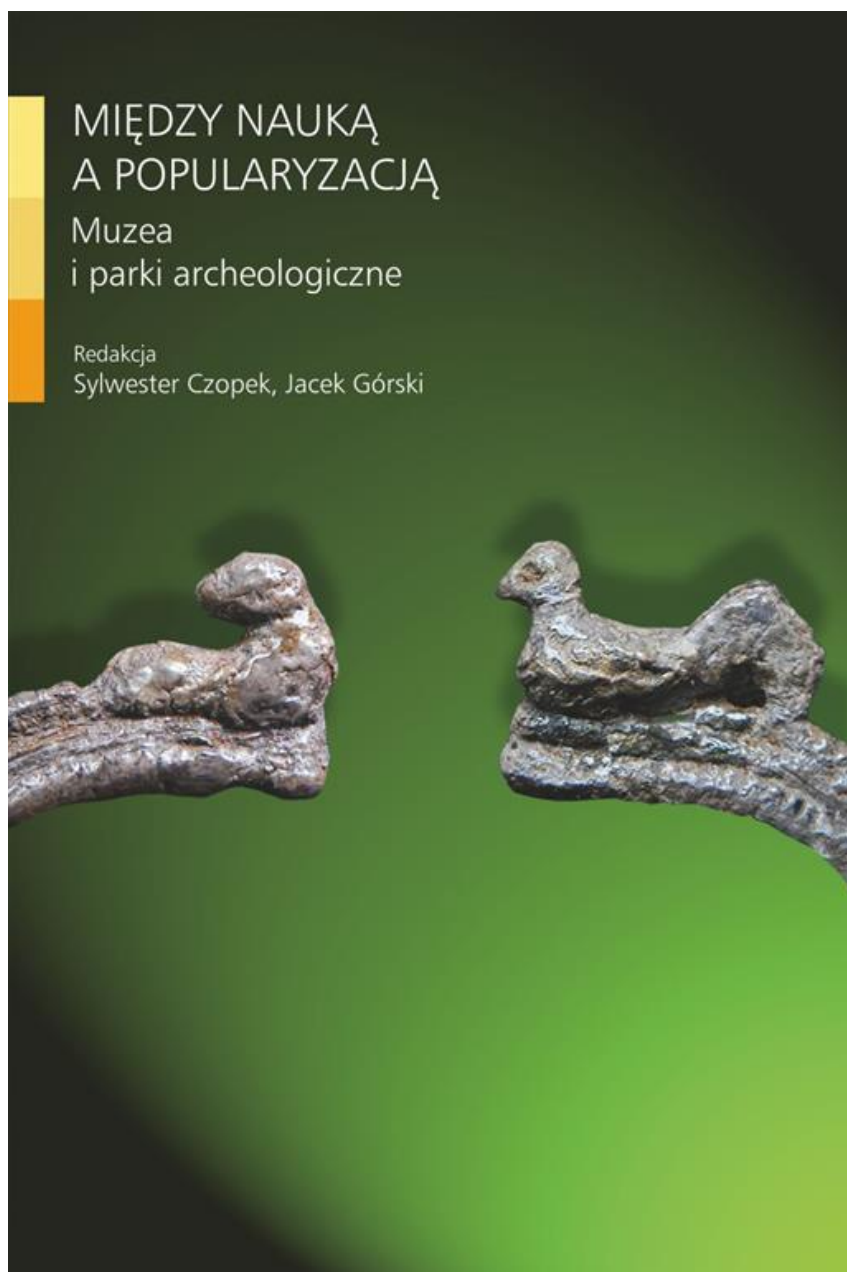
Między nauką a popularyzacją. Muzea i parki archeologiczne

Wraz z boomem na budowę autostrad i inne wielkie inwestycje do polskich muzeów zaczęły spływać dziesiątki tysięcy zabytków archeologicznych w bezprecedensowej skali. Jednocześnie dzięki programom unijnym jak grzyby po deszczu powstają w naszym kraju nowe rezerwaty archeologiczne.

Poświęcona tym kwestiom praca zbiorowa "Między nauką a popularyzacją. Muzea i parki archeologiczne" ukazała się nakładem wydawnictwa Universitas.

Państwo polskie nakłada na muzea obowiązek przyjmowania zabytków pochodzących z wykopalisk, w tym komercyjnych - zarówno nadzorów archeologicznych, jak i wielkich badań poprzedzających inwestycje budowlane - zauważają autorzy książki. A jednak wiele muzeów regionalnych we własnym zakresie musi radzić sobie z zapewnieniem przestrzeni magazynowej. Ta z reguły jest dość ograniczona, a wykonanie kolejnych, zapewniających wysrubowane standardy bezpieczeństwa - bardzo kosztowne.

Przyjmując zabytki z badań muzealnicy stykają się też z problemem definicji zabytku - dodają autorzy książki. Coraz częściej bowiem wykopaliska prowadzone są na stanowiskach związanych z historią nowożytną czy wręcz współczesną. Nie jest jasne, czy muzeum - prezentujące kolekcje z epoki średniowiecza - ma przyjmować zabytki z okresu II wojny światowej.



Autorzy zwracają również uwagę na inny ważny fakt. Mimo że dyrektorzy muzeów wystawiają promesy (czyli zobowiązanie do przyjęcia zabytków z wykopalisk) - to bywa, że po zakończeniu prac żadne zabytki do placówki nie trafiają. "Zapewne na części z nich (stanowisk) nie znaleziono zabytków (...), ale z pewnością na dużej części z nich pozyskano materiały. Są one zapewne przechowywane w prywatnych zasobach i można się jedynie domyślać, co stanie się z nimi po zaprzestaniu działalności +archeologicznej+ przez ich właścicieli" - napisał dyrektor Muzeum Archeologicznego w Krakowie, dr Górski - wskazując, że ani muzea ani konserwatorzy nie są w stanie tego procederu skutecznie ukrócić.

O wielu rezerwach czy skansenach archeologicznych, powstających w ostatnich latach na terenie Polski, autorzy wstępu do tomu mówią jako o nowej jakości w ochronie i popularyzacji dziedzictwa. Mniej entuzjastycznie do zagadnienia podchodzi autorka jednego z rozdziałów - Agata Byszewska z Narodowego Instytutu Dziedzictwa (NID). Stwierdza ona wręcz że "dotychczasowe działania w tej dziedzinie nie napawają optymizmem." Według niej część z inwestycji tego typu w Polsce wykonywana jest z pogwałceniem zasad nowoczesnego konserwatorstwa.

Za najczęstszy błąd podczas wznoszenia rekonstrukcji uznaje ona wznoszenie infrastruktury rezerwatów dokładnie w miejscach, gdzie znajdują się stanowiska archeologiczne. Wiąże się to z nieuchronnym niszczeniem zabytków - alarmuje.

Byszewska zwraca też uwagę na problem braku zrozumienia w kwestii zarządzania i ochrony krajobrazu. "W przypadku stanowisk archeologicznych, szczególnie o czytelnej formie terenowej, nadzwyczaj ważna jest dbałość o zachowanie niezmiennej, historycznej formy krajobrazu" - zauważa. Dalej pisze: "Jeżeli działania przy budowie rekonstrukcji w niewielkim stopniu naruszyły nawarstwienia archeologiczne, to zazwyczaj w dużym stopniu zeszpeciły i zaśmieciły krajobraz kulturowy." Jako negatywny przykład Byszewska podaje skansen na i wokół grodziska w Trzciny. Za wzór stawia natomiast skansen na Wolinie, gdzie rekonstrukcje są wtopione w krajobraz i zostały wykonane poza zasięgiem stanowiska archeologicznego.

Publikacja jest pokłosiem konferencji, która odbyła się w 2013 r. w Muzeum Archeologicznym w Krakowie. Dyskusję zorganizowano we współpracy z Zespołem ds. Ochrony Archeologicznego Dziedzictwa Kulturowego Komitetu Nauk Pra- i Protohistorycznych Polskiej Akademii Nauk i Towarzystwa Ochrony Dziedzictwa Archeologicznego.

"Należy mieć nadzieję, że wybór niniejszy odegra inspirującą rolę w dalszych dyskusjach na temat polskiego muzealnictwa archeologicznego, które nie może narzekać na nadmiar publikacji tego typu" - zauważyli we wstępie redaktorzy tomu, prof. Sylwester Czopek i dr Jacek Górski.

PAP - Nauka w Polsce, Szymon Zdziębowski

Serwis Nauka w Polsce - www.naukawpolsce.pap.pl.

Browar w Grodźcu



Trudno jednoznacznie ustalić dokładną datę powstania browaru, lecz wiadomo z całą pewnością iż istniał on już w 1839 roku, co potwierdzają ówczesne mapy. Trudno też ustalić kto był jego założycielem-wiadomo tylko że we wspomnianym roku Józef Bontani sprzedaje majątek grodziecki Maurycemu Kossowskiemu. Mowa tu o kolejnym z zagłębiowskich browarów – browarze w Grodźcu, który jak dziś wiemy w roku 1846 wiemy, był murowanym budynkiem z wapiennego kamienia kryty gontem. Jego kolejnym właścicielem był dziedzic i właściciel majątku i dóbr w Grodźcu Stanisław Ciechanowski, browar był w jego posiadaniu do 1927 roku.

Z końcem lat 80-tych XIX wieku, browar o rodowodzie folwarcznym został rozbudowany i produkował 42 000 wiader piwa / czyli około 5200 hektolitrów / a jego obroty sięgały 37000 rubli-zatrudniał wówczas 19 pracowników. W tym to czasie browar został gruntownie przebudowany i rozbudowany – niestety w sierpniu 1887 roku browar doszczętnie spłonął. Na przełomie wieków zakład był poza browarami w Będzinie i Sosnowcu-



wiodącym producentem piwa w regionie. Dalszego rozwoju browaru, nie przerwał kolejny pożar który to miał miejsce w 1901 roku do tegoż też roku browar miał oświetlenie naftowe, które zamieniono na elektryczne – browar napędzała maszyna parowa o mocy 12KM.

Za sprawą ustawy antyalkoholowej w 1920 roku browar zatrudniał 17 osób i produkował mniej piwa bo tylko około 4600 hektolitrów.

Od 1930 roku zakład był własnością Abrahama Troppauera, który to odkupił go od rodziny Ciechanowskich – i kultową zmianą wprowadzoną przez nowego właściciela było zamiast jak dotychczas chłodzenie piwa lodem – chłodzeniem maszynowym, wzrosła też znacznie produkcja browaru do 10 000 hektolitrów rocznie.



Rok 1933 zaowocował dalszymi zmianami, powstała spółka akcyjna o nazwie Browar Parowy Grodziec A. Troppauer S.A. w tamtym też czasie browar stał się zakładem ponadlokalnym mającym swe składy i reprezentacje w Nakle Śląskim, Książenicach, Chrzanowie i Żywcu.

W czasie trwania okupacji browarem zarządzał niemiecki administrator Konrda Dill. Po zakończeniu działań wojennych browar zakończył swą produkcję, a w 1948 roku sprzedano spółkę i ją zlikwidowano. Zostały jedynie zabudowania browaru pełniące po wojnie różne funkcje-między innymi magazynów zbożowych, pieczarkarni, kwaszarni ogórków czy hurtowni nabiału.

Do dnia dzisiejszego budynki browaru jako jedyne z zagłębiowskich browarów przetrwały prawie niezmienione – i ze względu na swą kubaturę i wysokość / 3 piętra / nadal jest dominującym elementem krajobrazu Grodźca.

W kolejnym swoim opracowaniu, przybliżę Państwu historię ostatniego z browarów zagłębiowskich – browaru w Sosnowcu.

Robert. Winkler.

tel. 0-501-985-369

e-mail: winczer@wp.pl

Odkryj 7 sposobów na pizzę z różnych zakątków świata

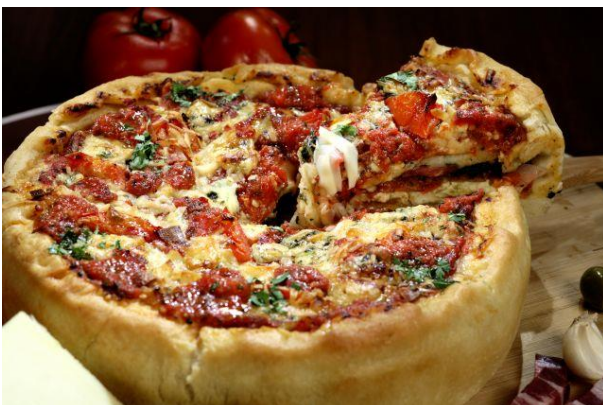
Podpłomyk na spodzie, a na górze same pyszności. Genialne w swej prostocie! Choć nikt przy zdrowych zmysłach nie śmiałby odmawiać słonecznej Italii prawa do wynalazku współczesnej pizzy, warto pamiętać, że dania tego typu powstawały na całym świecie już od czasów starożytnych. Centrum lotnicze Sky4Fly.net zaprasza w podróż dookoła świata w poszukiwaniu najpyszniejszych wariacji na temat placka z dodatkami.

Włoska pizza

Dania przypominające współczesną pizzę znane były już w starożytnym Rzymie pod postacią *focaccine*, placków przyprawionych ziołami i podawanych z serem. Nowożytna historia pizzy rozpoczęła się w XVI wieku, kiedy to na Półwysep Apeniński przywędrowały pierwsze pomidory z Ameryki, bez których trudno dziś wyobrazić sobie to danie. Pod koniec XIX wieku powstała margerita, nazwana tak na cześć włoskiej królowej Małgorzaty Sabaudzkiej. Choć każdy region Italii szczyci się własnymi odmianami pizzy, to właśnie neapolitański placek z zielonymi liśćmi bazylii, białymi kawałkami mozzarelli i czerwonym sosem pomidorowym, przywołujący swymi kolorami na myśl barwy włoskiej flagi, zyskał światowy rozgłos, stając się produktem wyjściowym dla innych wariacji smakowych.



Amerykańska pizza



Recepturę pizzy przywieźli do Stanów Zjednoczonych imigranci z południowych Włoch. Pierwsza amerykańska pizzeria powstała na początku XX wieku w Nowym Jorku, dając początek nowemu stylowi pizzy. Silnie wzorowana na neapolitańskim oryginale nowojorska odmiana cechuje się ciekim ciastem o chrupiących brzegach i elastycznym spodzie. Ta ostatnia cecha pozwala złożyć kawałek na pół, co czyni z nowojorskiej pizzy idealny street food. Drugim popularnym rodzajem amerykańskiej pizzy jest

odmiana z Chicago, a zwłaszcza wersja zwana *deep-dish*. Pizzę tę piecze się w głębokim naczyniu, co sprawia, że charakteryzuje ją wysokie ciasto, które wypełnia się gęstym sosem pomidorowym, serem i mięsem.

Alzackie tarte flambée (flammekueche)

Tarte flambée, po niemiecku nazywane flammekueche, to tradycyjne danie kuchni alzackiej zbliżone formą do włoskiej pizzy. Jego podstawę stanowi tarta z ciasta chlebowego, którą zapieka się z cebulą, boczkiem i śmietaną. Popularne są również wersje z innymi dodatkami. - Tarte flambée to typowo wiejska potrawa o bardzo długiej tradycji. Jeśli wybierzemy się w podróż do Alzacji, warto spróbować ją w oryginalnej wersji, podaną na drewnianej desce w towarzystwie słynnego alzackiego piwa lub rieslinga – podpowiada Piotr Chalimoniuk ze Sky4Fly.net.



Katalońska coca



Coca to kolejne śródziemnomorskie wcielenie placka z dodatkami. Danie należy do tradycyjnych potraw Katalonii, gdzie serwuje się je zarówno w wersji słodkiej, jak i wytrawnej. Pierwsza z nich dekorowana bywa kandyzowanymi owocami, na drugiej spotykamy warzywa, mięso, sery i orzechy, a na wybrzeżu świeże ryby i owoce morza. Występuje w dwóch podstawowych wersjach: otwartej, która bardzo przypomina włoską pizzę, a także zamkniętej, w której dodatki znajdują się wewnątrz ciasta.

Węgierski langosz

Langosz to tradycyjny przysmak kuchni węgierskiej, spotykany również na Słowacji, w Czechach, Serbii i Rumunii. Danie ma postać chlebowego placka smażonego w głębokim oleju. Placki sprzedaje się na słodko i słono, a dostępne są właściwie w każdym barze z jedzeniem. Langosz występuje również w wersji przypominającej pizzę.



Placek jest wówczas obsypany dodatkami w postaci tartego sera, śmietany, boczku i ziół.

Japońskie okonomiyaki

Okonomiyaki w wolnym tłumaczeniu oznacza „smaż, co lubisz”. Trudno o wyrażenie lepiej oddające istotę tego bardzo popularnego w Kraju Kwitnącej Wiśni dania. Potrawa ma postać smażonego na blasze naleśnika, który dekoruje się dowolnymi składnikami, najczęściej warzywami, rybami i owocami morza. Okonomiyaki wywodzi się z okolic Hiroszimy, ale dziś można je spotkać w wielu regionalnych odmianach w całej Japonii.



Chińskie cong you bing

Naleśnik z ciasta chlebowego przygotowywany z młodą cebulką to popularne danie uliczne w Państwie Środka. Chińska legenda głosi, że włoska pizza jest w istocie adaptacją cong you bing. Naleśniki miały być ulubionym daniem Marco Polo w trakcie jego pobytu w Chinach. Po powrocie z azjatyckich wojaży, podróżnik miał tak tęsknić za cong you bing, że namówił jednego z neapolitańskich kucharzy do odtworzenia ich receptury. Jak wiadomo potrawy przypominające pizzę istniały w Europie na długo przed narodzinami Marco Polo, opowieść można zatem włożyć między bajki. Nie zmienia to faktu, że chińskie naleśniki są po prostu pyszne i zyskują coraz większą popularność na świecie.



Nowe Audi A4 allroad quattro

Nowe Audi A4 allroad quattro to ucieleśnienie jedynej w swoim rodzaju koncepcji: połączenia wysokiego komfortu jazdy z zaletami offroad. Samochód ten cieszy się wyjątkową w swoim segmencie pozycją. Dzięki standardowo montowanemu napędowi na cztery koła quattro i zwiększonemu prześwitowi, może poruszać się także tam, gdzie kończą się utwardzone drogi.



Nowe Audi A4 allroad quattro zdefiniowane jest przez jedyne w swoim rodzaju wygląd. Wysunięte, wyraziście zarysowane nadkola oraz tylny zderzak przyciągają spojrzenie. Mogą być szare o charakterystycznej strukturze lub mieć barwę identyczną z kolorem lakieru. Masywna osłona podwozia i tylny dyfuzor utrzymane są w kolorze srebrnym Selenit. Ekstrawertyczny charakter Audi A4 allroad quattro podkreśla sportowy, wyrazisty przód z reflektorami o unikalnej formie, zaprojektowanym specjalnie z myślą o tym modelu zderzakiem oraz charakterystycznymi wlotami powietrza. Przestrzennie ukształtowaną, pojedynczo obramowaną osłonę chłodnicy Singleframe zdobią pionowe chromowane listwy. Emblematy „allroad“ dekorują przednie błotniki i pokrywę bagażnika. Podwyższone relingi dachowe dopełniają typowego wyglądu „allroad“.

Świetne silniki TFSI i TDI montowane w Audi A4 allroad quattro zapewniają wyższe osiągi i lepszą wydajność. Zakres mocy silnika TFSI i jednostki TDI rozpoczyna się od 140 kW (190 KM), a kończy na 185 kW (252 KM). Moc jednostek napędowych jest tu większa nawet o 20 kW (27 KM) w porównaniu z poprzednim modelem. Równocześnie Audi zredukowało emisję CO2 o 21 g na km. Za przeniesienie mocy silnika na koła odpowiada siedmiostopniowa automatyczna skrzynia biegów S tronic. Napęd na cztery koła quattro to element wyposażenia seryjnego.

Zawieszenie podwyższone w porównaniu do Audi A4 Avant o 23 mm, a także większa średnica kół, dają wspólnie większy o 34 mm prześwit. Jako alternatywę dla podwozia standardowego, Audi oferuje podwozie z układem regulacji tłumienia amortyzatorów. Kierowca może zmieniać jego ustawienia za pomocą systemu regulacji dynamiki jazdy Audi drive select.



System wyboru dynamiki jazdy Audi drive select w nowym Audi A4 allroad quattro ma poszerzony zakres. Obok znanych już trybów comfort, auto, dynamic, efficiency oraz individual (tylko w połączeniu z systemem nawigacji) do jazdy po nieutwardzonych drogach służy tryb offroad.

Przednia oś nowego Audi A4 allroad quattro to zaprojektowana na nowo konstrukcja pięciowahaczowa. Takie samo rozwiązanie zastosowano również na osi tylnej, zastępując

dotychczasową konstrukcję wykorzystującą wahacze trapezowe. Dzięki inteligentnej kompozycji materiałów, konstruktorzy obniżyli masę elementów osi łącznie o 12 kilogramów.

Nowe Audi A4 allroad quattro jeździ standardowo na 17-calowych kołach z wieloramiennymi felgami lekkiej konstrukcji. Wspólnie z quattro GmbH, Audi oferuje warianty opcjonalne felg w rozmiarach od 17 do 19 cali. Wentylowane od wewnątrz tarcze hamulcowe przy przedniej osi mają średnicę maksymalnie 338 mm.

Bagażnik ma pojemność 505 litrów. Przy złożonym oparciu tylnego siedzenia oraz przy załadunku przestrzeni po sam dach, zwiększa się ona do 1510 litrów. Elektrycznie przesuwana roleta przestrzeni bagażowej i elektryczny napęd pokrywy bagażnika to elementy wyposażenia seryjnego. Opcjonalnie, Audi oferuje dla tych elementów sterowanie czujnikami. Ponadto klienci mogą dodatkowo zamówić przegubowy hak do podłączenia przyczepy, wysuwający się po naciśnięciu odpowiedniego przycisku.

Dające wrażenie dużej przestrzeni wewnątrz starannie wykończono. Jego charakter podkreślają liczne, najnowocześniejsze opcje z obszaru infotainment. W centrum uwagi znajduje się opcjonalny Audi virtual cockpit i system MMI o nowej koncepcji obsługi. Wachlarz różnorodnych usług Audi connect, Audi smartphone interface oraz Audi phone box z

możliwością indukcyjnego ładowania, dają możliwości pobierania online najnowszych propozycji infotainment oraz integracji własnego smartfona z całym systemem. Sprzęt muzyczny Bang & Olufsen Sound System ma aż 19 głośników. Dzięki niemu, Audi jest pierwszym w swoim segmencie producentem, oferującym nagłośnienie emitujące dźwięk 3D.

W nowym Audi A4 allroad quattro dostępne są wszystkie oferowane w modelach rodziny A4 systemy wsparcia kierowcy i systemy bezpieczeństwa. Najbardziej zaawansowane rozwiązania to: asystent efektywności, ostrzeżenie przed wysiadaniem oraz radarowy tempomat z automatyczną regulacją odległości między poruszającymi się pojazdami adaptive cruise control Stop&Go z asystentem jazdy w korkach. Nowością w ofercie jest asystent parkowania dla samochodów z przyczepą. Odpowiednia funkcja systemu MMI ułatwia manewrowanie takim właśnie pojazdem.



Na pierwszy rzut oka

Nowe Audi A4 allroad quattro

Stylistyka zewnętrzna

- Mocny wygląd „allroad” i o 34 mm większy prześwit
- Wyrazisty front pojazdu przywodzący na myśl grot strzały, z jedynym w swoim rodzaju zderzakiem
- Pojedynczo obramowana osłona chłodnicy Singleframe z pionowym, chromowanym uźebrowaniem
- Mocna osłona podwozia i tylny dyfuzor w matowym kolorze srebrny Selenit
- Wypukłe nadkola i tylny zderzak w matowym kolorze szarym lub w kolorze karoserii (można wybrać tu pięć kolorów)
- Opcjonalne reflektory diodowe i reflektory diodowe Audi Matrix z kierunkowskazami ze

zdynamizowanym sposobem sygnalizowania, oświetlenie znaków drogowych i doświetlanie zakrętów

- Standard: 17-calowe, wieloramienne felgi aluminiowe o lekkiej konstrukcji
- Do wyboru 14 kolorów karoserii

Napęd i układ przeniesienia mocy

- Do wyboru: jeden silnik TFSI i jeden TDI, moc od 140 kW (190 KM) do 185 kW (252 KM)
- Nawet o 20 kW (27 KM) więcej mocy i aż o 21 g mniejsza emisja CO₂ na km
- Siedmiostopniowa, automatyczna skrzynia S tronic
- Standardowy napęd na cztery koła quattro
- Nowy napęd na cztery koła quattro z techniką ultra, w połączeniu z silnikiem 2.0 TFSI

Zawieszenie

- Zaprojektowane na nowo, lekkie, pięciowahaczowe zawieszenia obu osi
- W porównaniu do Audi A4 Avant: o 23 mm wyżej zawieszona karoseria i większe koła, dają w efekcie o 34 mm większy prześwit
- System wyboru dynamiki jazdy Audi drive select z dodatkowym trybem offroad
- Po raz pierwszy w modelu A4 allroad quattro: układ regulacji tłumienia amortyzatorów w opcji



Karoseria i bagażnik

- Nawet o 90 kg mniejsza masa w porównaniu do poprzednika
- Karoseria lekkiej konstrukcji: masa, w porównaniu do poprzedniego modelu, mniejsza o 15 kg
- Pojemność bagażnika od 505 do 1510 litrów
- Elektrycznie przesuwana osłona przestrzeni bagażowej i elektryczny napęd pokrywy bagażnika w wyposażeniu seryjnym
- Opcjonalny hak holowniczy, odblokowujący się elektrycznie po naciśnięciu przycisku,

asystent parkowania dla pojazdów z przyczepą ułatwiający manewrowanie

- Długość 4750 mm, rozstaw osi 2818 mm, szerokość 1842 mm, wysokość 1493 mm

Wnętrze i obsługa

- Diodowy pakiet „Oświetlenie wnętrza” z oświetleniem Ambiente w opcji

- Na życzenie Audi virtual cockpit oraz nawigacja MMI plus z panelem dotykowym MMI touch

- Nowa koncepcja obsługi MMI z funkcją wyszukiwania tekstowego, zamontowany pośrodku wyświetlacz MMI i sterowanie naturalnym głosem

- Wyświetlacz danych na szybie head-up display w opcji

Infotainment i Audi connect

- Modułowy system infotainment drugiej generacji

- Audi connect z modulem LTE, punkt dostępu hotspot umożliwiający korzystanie z internetu

- Usługi Audi connect, m.in. streaming muzyczny z portali Napster, Aupeo!

- Audi smartphone interface dający możliwość wyświetlania zawartości smartfonów z systemami operacyjnymi iOS lub Android bezpośrednio na ekranie MMI

- Gratka dla audiofilów: system nagłaśniający Bang & Olufsen Sound System z dźwiękiem 3D

- Audi phone box z możliwością bezprzewodowego ładowania wireless charging

- Rear Seat Entertainment, czyli przenośny tablet Audi

Systemy wsparcia kierowcy

- Korzystający z radaru tempomat adaptive cruise control z funkcją Stop & Go i z asystentem jazdy w korkach

- Asystent wydajności pilnujący jeszcze mniejszego zużycia paliwa

- Asystent parkowania, asystent ruchu poprzecznego z tyłu, ostrzeżenie przed wysiadaniem, asystent skręcania, asystent manewru unikania kolizji i funkcjonująca w oparciu o obrazy z kamery funkcja rozpoznawania znaków drogowych



ŠKODA POPULAR Sport Monte Carlo

Jeden z najważniejszych modeli w bogatej historii czeskiej marki właśnie obchodzi 80. rocznicę swojej światowej premiery: 1 października 1936 roku na 20. Międzynarodowych Targach Samochodowych w Paryżu została zaprezentowana ŠKODA POPULAR Sport Monte Carlo. Przez kolejne trzy lata czeska marka wyprodukowała limitowaną edycję sportowych roadsterów, kabrioletów i coupé, które po dziś dzień uważane są za jedne z najpiękniejszych aut, które kiedykolwiek opuściły bramy fabryki w Mładej Boleslavi.

„Wyjątkowe modele ŠKODY z serii POPULAR Monte Carlo są nierozdzielnie powiązane z bogatą historią sukcesów marki w motorsporcie, sięgającą roku 1901” – mówi Andrea Frydlová, Dyrektor Muzeum ŠKODY. „Model limitowanej serii był rozwinięciem wyjątkowego, powstałego tylko w jednym egzemplarzu prototypu, zbudowanego na Rajd Monte Carlo w 1936 roku. Można więc powiedzieć, że już 80 lat temu Klienci ŠKODY korzystali bezpośrednio z doświadczenia zdobytego w światowej czołówce motorsportu”.

W styczniu 1936 ŠKODA osiągnęła niesamowity sukces: właściwie nikomu nieznanemu zespół Zdeněk Pohl/Jaroslav Hausman jadący zmodyfikowaną ŠKODĄ POPULAR Roadster wywalczył w Rajdzie Monte Carlo sensacyjne drugie miejsce w klasie do 1500 cm³.



Czeski producent uczcił to osiągnięcie wprowadzając na rynek limitowaną edycję sportowego modelu o wyróżniającej się stylistyce: tak powstała ŠKODA POPULAR Sport Monte Carlo. Dokładnie 80 lat temu ten wyjątkowy model świętował swoją światową premierę na Międzynarodowych Targach Samochodowych w Paryżu.

Tak jak sensacyjny model rajdowy, przeznaczony na ulicę odpowiednik także posiadał mocniejszy, pochodzący z modelu RAPID czterocylindrowy silnik o pojemności 1,4 litra o mocy 31 KM. Trzybiegowa skrzynia biegów została przeniesiona na tylną oś w jeden moduł z dyferencjałem, tworząc układ typu transaxle. Zastosowane rozwiązania pozwoliły osiągnąć prędkość maksymalną 110 km/h, więc specyfikację wersji Monte Carlo uzupełniły wydajne hamulce hydrauliczne. W 1936 roku POPULAR Monte Carlo został wyceniony na 28 500 czeskich koron, podczas gdy standardowy POPULAR Roadster z silnikiem 1.0 o mocy 22 KM kosztował 18 700 koron.



Pierwsze dwa egzemplarze nowego, specjalnego modelu zostały zbudowane w lipcu 1936 roku, ostatni – coupé pokryte ciemnoszarym lakierem metalicznym – został dostarczony 13 stycznia 1939 roku.

Przez ten czas wyprodukowano 70 egzemplarzy, wśród których były 24 roadstery w lżejszej wersji z prostszym wyposażeniem, 17 roadsterów w bogatszej specyfikacji z szybami zsuwanymi na korbkę, 23 coupé, dwa kabriolety i dwa podwozia do indywidualnej zabudowy. Modele były oferowane z szeroką paletą wersji napędowych oraz dwoma wariantami zawieszenia.

Z całej serii na szczególną uwagę zasługują dwa roadstery. Były to wyjątkowo luksusowe egzemplarze, które rząd Czechosłowacji wysłał w 1938 roku do władcy Jugosławii – czternastoletniego wówczas Króla Petara II Karađorđevića. Najbardziej wymagający z Klientów mogli wybrać wersję z dwuosobowym nadwoziem typu coupé, które kosztowało 35 000 koron czeskich. Eleganckie nadwozie mierzyło 4,2 metra długości, 1,5 metra szerokości i 1,37 metra wysokości. Cały samochód ważył 960 kg.

W październiku 1937 na rynku pojawiła się zmodernizowana wersja, charakteryzująca się zmodyfikowanym zawieszeniem, polepszonymi osiąganiami i wydłużonym rozstawem osi. Kompaktowa karoseria wykorzystywała wiele aerodynamicznych rozwiązań, które odpowiadały najnowszym trendom w projektowaniu. Opływowe pokrywy świateł były częściowo zatopione w błotnikach. Wśród znanych właścicieli modelu pojawił się także popularny aktor praskiego Teatru na Vinohradach, Otomar Korbelář.



Do dziś przetrwał około tuzin egzemplarzy z tej wyjątkowej serii i są one jednymi z najbardziej poszukiwanych klasycznych modeli ŠKODY. W 1968 roku nowopowstałe Muzeum ŠKODY zakupiło czarne coupé z roku 1937 i odrestaurowało je na przełomie wieków.

Dziś egzemplarz ten jest jednym z najcenniejszych okazów motoryzacyjnej historii Młodej Boleslavi i jest często prezentowany na wielu wydarzeniach. Obecnie w warsztatach Muzeum ŠKODY jest odrestaurowywany kolejny egzemplarz z tej limitowanej edycji.

Toyota Land Cruiser FJ40



Jeśli kolekcjonerzy japońskich samochodów mają ulubioną maskotkę, jest nią na pewno Toyota Land Cruiser FJ40. Klasyczna 40-tka należała do najbardziej rozchwytywanych samochodów eksportowanych przez japońskiego producenta. W Stanach Zjednoczonych auto było popularne we wczesnych latach 80.

Nawet kiedy ta surowa terenówka została zastąpiona przez luksusowe SUV-y i świetnie wyposażone nowoczesne auta terenowe, popularność FJ40 nie słabła wśród entuzjastów. Dlatego już co najmniej od 10 lat żadna aukcja samochodów kolekcjonerskich w USA nie może się odbyć bez choć jednej 40-tki, czy to tuningowanej, czy też przeciwnie – troskliwie konserwowanej przez lata w oryginalnym stanie lub pieczołowicie odrestaurowanej według pierwotnej specyfikacji.

W efekcie na rynku kolekcjonerskim jest teraz o wiele więcej wariantów Land Cruiserów J40 niż znajdowało się w cennikach tego modelu w 26-letniej historii jego produkcji. Na przykład kalifornijska firma FJ Co. oferuje trzy różne wersje klasycznej FJ-ki, tworzone na

zamówienie. Klienci mogą wybierać między wersją Classic bardzo zbliżoną do wersji produkcyjnej (od 55 tys. dolarów), wersją California do rekreacji na plaży (od 65 tys. dolarów) oraz wersją Sport dla fanów off-roadu. Modyfikacje FJ Co. obejmują m.in. karoserię i wymianę silników.

Bracia Nelson i Juan Calle, którzy stworzyli firmę FJ Co., uruchomili swój biznes w sposób bardzo organiczny. Ich ojciec i dziadek używali 40-tek na farmie, a chłopcy pomagali je naprawiać. Ich pierwszym poważnym projektem stała się renowacja jednej z rodzinnych terenówek. Wkrótce znajomi zaczęli ich prosić o rady i pomoc, aż hobbistyczne naprawianie klasycznych Land Cruiserów okazało się sposobem na życie i źródłem utrzymania. Ostatecznie ich firma rozrosła się i zyskała międzynarodowy charakter.

„Ponad 60% naszych samochodów pochodzi z zagranicy – powiedział Nelson Calle. – Szczególnym zainteresowaniem klientów cieszy się FJ43 o średnim rozstawie osi, a najwięcej takich egzemplarzy jeździ w Ameryce Południowej. Tam znajdujemy bardzo dobre pojazdy, które wciąż są na chodzie. W ich poszukiwaniu przeczesujemy tereny z dala od oceanu, ponieważ są mniej skorodowane. Interesują nas suche górskie okolice w Kolumbii, Kostaryce i Wenezueli”.

W Ameryce Południowej klasyczne FJ40 nie są wcale klasykami – właściciele wciąż ich używają do codziennych zadań. W Stanach Zjednoczonych czeka je zupełnie inny los – lśniące okazy w lepszym stanie niż po opuszczeniu fabryki krążą po Pacific Coast Highway obciążone najwyżej deską surfingową lub prezentują swoje wdzięki na aukcjach aut zabytkowych.

Klientom FJ Co. zdarza się mimo wszystko od czasu do czasu ubrudzić swoje samochody. „Według moich szacunków około 80 procent sprzedanych przez nas samochodów służy do weekendowych wypadów. Z tej liczby 30 procent jest wykorzystywanych do off-roadu, zaś większość jest używana jako środek transportu do letnich domów, na golfa, surfing czy na plażę” – wyjaśnia Nelson Calle.

W ciągu najbliższego roku FJ Co. dostarczy klientom 40 Land Cruiserów. Remont jednego auta trwa przeciętnie od 9 do 12 miesięcy. Zdaniem Nelsona zainteresowanie kolekcjonerów i entuzjastów 40-tką będzie się utrzymywało, gdyż auta te kojarzą się pokoleniu urodzonemu w latach 70. z dzieciństwem. W ich oczach FJ40 ma szczególny urok.

KUCHNIA POLSKA

tradycja - smak - współczesność

Zachwycająca kombinacja smaku
i tradycyjnej polskiej sztuki kulinarnej



Zapraszamy do Restauracji Ibiza

ul. Główna 100, Ludwikowice Kłodzkie, tel. 746604001